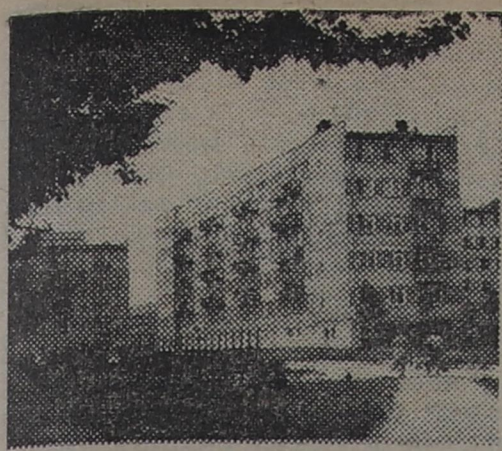




4
powiatowy
sen Kolna



5
letni raj



6
fatalna
kolejność
dziejowa



11
lomżynian-
ka



12
jak to na
koloniach
ładnie

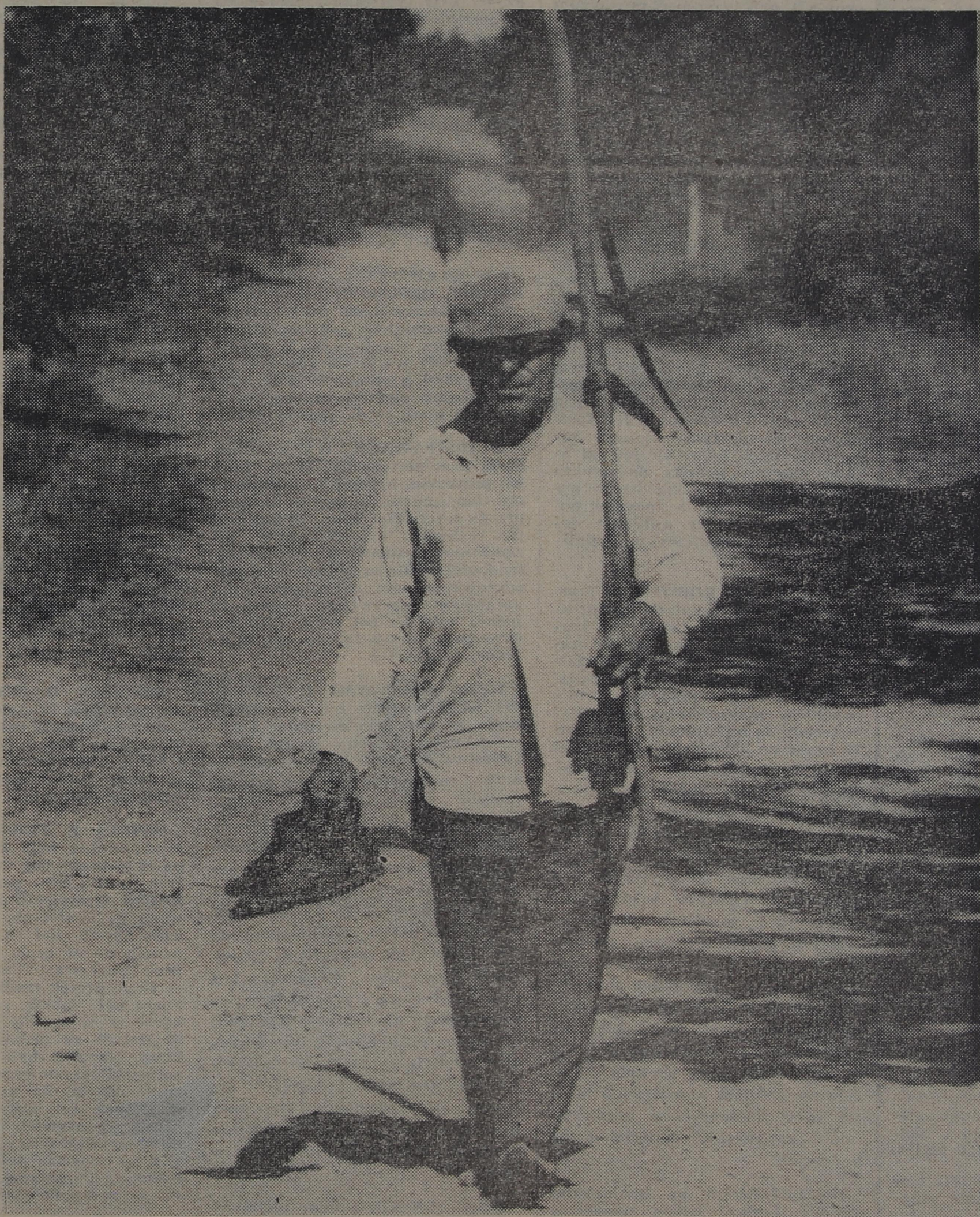
KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

20

(96)

KONTAKTY
15 VIII 1982
Cena 12 zł



Aby do stodoły — fotoreportaż GABORA LÖRINCZEGO, STR. 3.

krytyka z wytartą gębą

WŁADYSŁAW
TOCKI

— Pojadę do wojewody i powiem: „Ludzie mówią, żeś pan kuzyn czy swagier naszego Koca”. Popatrz jak na głupią, a wtedy zapytam: „Jeśli to nieprawda, to co go pan u nas tak uparcie trzymasz?” A pan — zwraca się do mnie Monika Zakrzewska — możesz sobie popisać. Pomógł pewnie tyle, co w ubiegłym roku, ale zaszkodzić nie powinno. — Niewiara Zakrzewskiej, i nie tylko jej, w skuteczność dziennikarskiej interwencji bynajmniej nie dziwi. O sytuacji w Andrzejewie pisałem w ubiegłym roku ja („Kontakty” 33/81), pisała częściowo podejmując problem, Iwona Jurczenko w „Chłopskiej Drodze” (nr 19/19 — 1982). I nic.

RODZINNA HISTORIA POLSKI

Świat na końcu igły

ALICJA
ZAGÓRSKA

— Nie znać swej ziemi, to jakby nie znać swej matki. Tę myśl Glogera wynotowałem dopiero dziś, ale takie pragnienie, może nie tak pięknie sformułowane, nakreśliłem sobie w młodości, którą spędziłem w Rutkach. I dopiąłem swego. Wiem o Rutkach wszystko; od najdawniejszych czasów, od początków istnienia. Rycerze z Kujaw, Świętosław i Bronisz, otrzymali za zasługi dla kraju od księcia mazowieckiego, Janusza, 20 włók ziemi na Mazowszu i założyli wieś Rutki w 1418 r. nad rzeką Kurowstok.

Mali i wielki świat, Rutki, Paryż, Wiedeń, Londyn. Wielki świat mody i znakomitego krawiectwa. Mistrz Wacław Danowski, modelarz odzieżownictwa (jak stoi w dokumentach), otarł się o niego, chociaż w swoim warsztacie rzadko widywał eleganckie futra i piękne kobiety. Zazwyczaj przychodziły do niego figury nietypowe: panie o biustach dużych (można było na nie kłaść talerze i urządzać zawody, która dalej doniesie) i o biodrach tak szerokich, że nie wystarczyło dla nich półtorametrowego centymetra, a kroje — krawiec-poeta szczupłego i niskiego wzrostu — zaczepiał haczykiem centymetr i biegi wokół nich uskuteczniał.

— Nie ma w świecie dwóch figur podobnych do siebie — rzecze mistrz. — Dlatego najtrudniejsza do opanowania w odzieżownictwie na całym świecie jest figura ludzka.

To spostrzeżenie mistrz Danowski, który jeszcze przed wojną wyemigrował do Warszawy — bo przecież trzeba „w Londynie lub w Paryżu skroić, w Warszawie uszyć, a w Petersburgu wyprasować” — pięknie wykalkulował w swoim domku letniskowym w Rutkach; przyjeżdża do niego na całe lato ze stolicy. Tuz przed wejściem na schody do sypialni na strychu można przeczytać: „Człowiek najwyższy jest bezpośrednio po śnie. Pod wieczór ubywa go 1–2 cm”. Malejemy po jedzeniu i wówczas gdy nas nerwy ponoszą. Słasy le-

wypisy
z historii

● 15 VIII 1400 roku ukazała się pierwsza wzmianka źródłowa o Łomży.

● W sierpniu 1786 r. pożar zniszczył Kolegium Łomżyńskie, które zostało odbudowane dzięki pomocy Stanisława Osieńskiego. Pijarzy Kolegium Łomżyńskie nazywali królewsko-wschodnim.

● W sierpniu 1794 r. odbyły się w Łomży wybory na komisarzy ziemskich, którzy w czasie powstania zasiadali w Komisji Porządkowej Ziemskiej mającej swoją siedzibę w Łomży.

● 11 VIII 1915 r. — wkroczenie Niemców do Łomży.

● W sierpniu 1920 r. utworzono Wojenno-Rewolucyjny Komitet Powiatowy w Łomży. W tym czasie w mieście przebywali członkowie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski w Białymstoku, Julian Marchlewski i Feliks Dzierżyński.

● 15 VIII 1941 r. w lesie Plaszczatka koło Stawisk gestapo rozstrzelało około 600 miejscowych obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, w tym dzieci, kobiety i starców. Zwłoki ofiar zakopano w miejscu kaźni. Na zbiorowej mogile znajduje się symboliczny głaz.

● W sierpniu 1941 r. żołnierze Wehrmachtu, przy współudziale volksdeutsche, dokonali w Radziłowie mordu ok. 800 miejscowych Żydów: 360 osób rozstrzelano a około 500 spalono żywcem w zamkniętej stodole. Miejsce kaźni upamiętnia płyta.

● 9 VIII 1944 r. żołnierze Wehrmachtu rozstrzelali 19 rolników ze wsi Skłody Borowe. Zwłoki ofiar pochowano na cmentarzu w Piekutach Nowych.

● 13 VIII 1944 r. 3 armia pod dowództwem gen. płk. Aleksandra Gorbatowa (2 Front Białoruski) i 48 armia (1 Front Białoruski) wyzwoliła m.in. Wysokie Mazowieckie, Goniądz, Kulesze, Brzeziny, Downary i Mężenin.

● 15 VIII 1944 r. załoga Drogowych Warsztatów Mostowych w Starosielcach przystąpiła do odbudowy miejskiego młyna w Białymstoku.

● 14 VIII 1948 r. nastąpiło otwarcie Muzeum Północno-Mazowieckiego w Łomży przez doc. dra Adama Chętnika. Działało pod patronatem Towarzystwa Naukowego Płockiego.

● 10 VIII 1949 r. w województwie białostockim zakończył się powszechny spis analfabetów. Było ich w województwie 62 346 (w roku 1945 licba analfabetów wynosiła 140 tysięcy).

● 11 VIII 1954 r. powstają powiaty: łapski i zambrowski.

● W sierpniu 1954 r. czynem społecznym rozpoczęto regulację rzeki Białej oraz odbudowę Ratusza w Białymstoku.

● 13 VIII 1961 r. w Wysokiem Mazowieckiem odsłonięto Pomnik Bronisława Wesołowskiego.

● 10 VIII 1963 r. — jubileuszowe obchody 400-lecia Rajgradu.

● 10 VIII 1964 r. społeczeństwo województwa białostockiego złożyło hołd pamięci Aleksandra Zawadzkiego, zmarłego 7 VIII 1964 r.

● W dniach 10–20 VIII 1972 r. w Łomży odbyło się spotkanie młodzieży polskiej i radzieckiej.

PO RAZ PIERWSZY od czasu zakończenia II wojny światowej Miejska Rada Narodowa w Łomży obradowała na temat kultury. Wprawdzie dość gładko przyjęto przedstawiony program rozwoju kultury do 1985 r. ale zrodziło się wiele innych propozycji, które tak długo i burzliwie dyskutowano, aż część radnych nie wytrzymała i wyszła z sali. Gdy doszło do głosowania nie było już quorum. Postanowiono wrócić do poruszonych spraw na następnej sesji.

PREZYDUM WK ZSL przeanalizowało działalność spółdzielczości ogrodniczo-pszczelarzkiej. Zaawansowanie reformy przejawia się szczególnie w pracach prawno-organizacyjnych. Uwarunkowania materialne ograniczają jednak pole manewru spółdzielni, szczególnie w prowadzeniu inwestycji. Istnieje jednak możliwość zawarcia umów na tymczasowe korzystanie z innych obiektów na potrzeby SOP. Bardzo pilnym zadaniem jest zaktywizowanie niedużych gospodarstw podmiejskich, zrewidowanie asortymentu upraw warzywnych tak, aby pełniej zaopatrywać rynek miejski. Prezydium WK ZSL pokreśliło, że konieczna jest wyjątkowo dobrze zorganizowana kontrola społeczna w skupie i przy zagospodarowywaniu surowców — nie możemy sobie pozwolić na żadne marnotrawstwo. Zdecydowanie większego wsparcia wymaga najmniej kapitałochłonna produkcja — pszczelarstwo.

Prezydium popiera reaktywowanie związków branżowych, widzi też konieczność poszerzenia współpracy z Zarządem Pracowniczym Ogródków Działkowych, a nawet rozważa zasadność przejęcia nad nimi patronatu.

ROZGORZAŁ KONFLIKT między Spółdzielnią Mieszkaniową „Perspektywa” a Łomżyńską Spółdzielnią Mieszkaniową o podział mieszkań w oddawanych budynkach. Po uprządkowaniu się list lokatorów sporządzonych przez Spółdzielnię „Perspektywa”, decyzją komisarzy wojewódzkiego został wstrzymany rozdział mieszkań. Zarząd LSM twierdzi, że podział dokonany przez Spółdzielnię „Perspektywa” nie uwzględnia wszystkich interesów ich członków. Sprawa wróciła do punktu wyjścia. Rady obu spółdzielni ponownie zadecydują o sposobie podziału mieszkań. O podjętych decyzjach poinformujemy w najbliższym czasie.

WYKONANIE ROBÓT wykonawczych w mieszkaniach spółdzielczych, coraz częściej spada na barki lokatorów. Powinno być to prawem spółdzielcy, a staje się obowiązkiem. Nie wywiązuje się z zobowiązań najczęściej wykonawca, który powinien przynajmniej dostarczyć materiały do wykańczania mieszkań. W praktyce obowiązek ten również spada na spółdzielnię, gdy Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych, zaopatrujący spółdzielnię w całym województwie niewiele ma do zaoferowania. Złożone są np. zamówienia na płytki PCV i parkiet (po 5 tys. m² każdego materiału), które powinny być dostarczone do końca września. Obecnie do „wzięcia” jest tylko wykładzina dywanowa, w niewielkich ilościach dostarczane są farby olejne i emulsyjne. Centralny rozdzielnik nie przewiduje przydziału spółdzielniom w woj. łomżyńskim terakoty i glazury — źródłem zaopatrzenia stają się więc znajomości u producentów i „załatwianie” materiałów na budowach.

DO 1995 ROKU na łomżyńskim osiedlu „Jantar” należy zbudować

cztery nowe szkoły podstawowe. Na wrzesień 1983 r. zaplanowano zakończenie budowy pierwszej szkoły osiedlowej. Wydział Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego przyjął do zagospodarowania pierwszą część budynku. Do końca sierpnia powinny zostać zakończone roboty budowlane w budynku głównym. W czasie roku szkolnego wznoszone będą stolówki i dwie sale gimnastyczne. 1 września rozpocznie w szkole naukę tyśiąc dzieci z klas I–IV i z oddziałów przedszkolnych. Młodzież z klas starszych, mieszkająca w bieżącym osiedlu „Jantar”, uczęszczać będzie jak dotychczas do szkół w mieście. Za trzy lata powinna rozpocząć pracę kolejna szkoła osiedlowa — obecnie znajduje się jeszcze na deskach projektantów w białostockim „Miasto-projekt”.

1687 ŁOMŻYŃSKICH DZIECI (a 119 więcej niż w roku ubiegłym) otrzymało skierowanie do przedszkoli. Odrzucono osiem podań — rodzice nie złożyli na nie odwołań. Przyjęcie tej liczby dzieci stało się możliwe po otwarciu dwóch oddziałów w przedszkolu przy ulicy Rybaki oraz zagęszczeniu w LZPB „Narew” i lokalu przy ul. Spółdzielczej. W tym roku zaplanowano rozpoczęcie budowy przedszkola u zbiegu ulic Sikorskiego i Nojogrodzkiej.

PO WPROWADZENIU REFORMY gospodarczej strażnikiem efektywności produkcji w zakładach pracy stał się Narodowy Bank Polski. W Łomżyńskim 95 przedsiębiorstw posiada otwarte konto bankowe, z tego 74 korzysta z kredytów. 12 przedsiębiorstw kredyt ten otrzymuje pod warunkiem, że poprawi wyniki swojej działalności.

UWZGLĘDNIAJĄC ŻYCZENIA klientów Oddział Rejonowy RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Łomży ustalił dogodniejsze godziny otwarcia kiosków gazetowych. W soboty czynne będą wszystkie kioski — od 7.00 do 13.00, a jedna trzecia do 17.00. Natomiast w niedzielę czynny będzie co drugi kiosk — do godziny 13.00.

W DOSTAWACH GAZU znów grożą nam perturbacje. W ub. roku ich przyczyną były braki kadrowe i zły stan sprzętu, w tym — brakujące przede wszystkim gazy. Producent nie realizują systematycznie już zaniżanych zamówień. W mieście trudności te nie są jeszcze wyraźnie odczuwalne, lecz mieszkańcom wsi ograniczono uprawnienia tylko do jednej butli na pół roku, a zbawidomcom zamieszkałym na wsi — do jednej na kwartał.

WPEC WSTRZYMUJE DOSTAWY — tradycyjnie już — ciepłej wody w miesiącu sierpniu. Zużycie gazu (dochodzi jeszcze przetwórstwo domowe) znacznie wzrosło, na co „Korgaz” nie jest przygotowany. Przedsiębiorstwo to ma kłopoty z przetrwaniem. Do czerwca reformowali się z 32 milionowym zyskiem, ponieważ podniesiono cenę gazu i otrzymali dotację z budżetu państwa — 100 zł do każdej butli. W czerwcu dotację tę zlikwidowano i w jednym miesiącu firma „zarobiła” 10 mln strat. Cena gazu jest ceną państwową i przedsiębiorstwo samodzielnie nie może jej zmienić, ale nie zarobi też na własne istnienie. Jeżeli ta sytuacja nie ulegnie zmianie, łomżyński „Korgaz” ma szansę na najszybsze splajtowanie, ponieważ zużycie gazu na jednego posiadacza butli jest tu najwyższe w Polsce.

UKAZAŁY SIĘ kolejne biuletyny informacyjne miejsko-gminnych organizacji partyjnych w Grajewie i Kolnie. Wydanie grajewskie zawiera charakterystykę miasta, informacje o podstawowych problemach mieszkańców, stosunkach POP-kierownictwo na przykładzie Zakładu Lubelskich Fabryk Wag. W materiale omawiającym przyjmowanie patentów w KM-G w Grajewie czytamy: „Aktualny napływ interesantów może świadczyć o tym, że autorytet instytucji i organizacji wzrósł. Najwięcej spraw dotyczy przydziału mieszkań, sprzedaży ziemi z PFZ i rozdziału środków do produkcji rolnej, nieuczciwości handlowców w sprzedaży artykułów deficytowych,

konfliktów wynikających ze stosunku pracy”. Na treść biuletynu kolneńskiego składają się: zarys historii miasta do 1946 roku, informacje o pracy komisji socjalnych, ankietę na temat działalności partii w zakładach pracy i dwugłos o postawach młodzieży.

KOMENDA MO w Łomży skontrolowała prawidłowość parkowania samochodów na osiedlu Jantar. Kilkadziesiąt osób zostanie ukaranych mandatami. Refleksje jednej z właścicielek niefortunnego „malucha” — na stronie 10.

BADANIEM JAKOŚCI MLEKA zajmowała się kilkunastoosobowa grupa studentów z koła naukowego przy Instytucie Żywności Człowieka w SGGW w Warszawie. Sprawdzianem objęto wszystkie etapy drogi tego najczęściej używanego produktu spożywczego: zlewnie, zakłady mleczarskie, sklepy. Wyniki okazały się niestety nie zbyt optymistyczne: wiele parametrów określających stopień zanieczyszczenia mleka przekracza, i to znacznie, wymagane normy — jedna więc praktycznie rada: nie spożywać surowego mleka, a tylko przegotowane. Zanieczyszczenie surowca — jak ustalili studenci, pracujący pod kierownictwem mgr. Andrzeja Kiepuskiego — następuje najczęściej już w punkcie skupu, gdzie zlewa się do jednej cysterny produkt czysty i już zakażony, w mleczarni, gdzie warunki higieniczno-sanitarne nie są najlepsze. Nie więc dziwnego, że żaden z zakładów nie kwapił się z pomocą dla młodych „kontrolerów” — własne laboratorium do wykonania niezbędnych analiz udostępnił Wojewódzki Zakład Weterynarii.

W OSTATNIM TYGODNIU, liczba wykroczeń rozpatrywanych w trybie przyspieszonym spadła. Wymierzono trzy grzywny od 6 do 10 tysięcy złotych i zakaz prowadzenia pojazdów przez 6–10 miesięcy za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym. Jedną osobę ukarano grzywną 2 tysięcy za zakłócanie porządku publicznego, a dwie osoby poniosły karę ograniczenia wolności i 20 proc. potrącenia poborów przez trzy miesiące. Nikt nie wszedł w kolizję z dekretem o stanie wojennym.

DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH w Łomży rozstrzygnął konkurs poetycki. Dwie pierwsze nagrody przyznano Władysławowi Mścichowskiemu i Alicji Olender, a trzecią — Wiesławowi Chodzikowi. Nagrody i dziesięć wyróżnień książkowych zostaną wręczone 20 sierpnia br.

DECYZJĘ O WYLĄCZENIU z reglamentacji 18 tysięcy par importowanego obuwia dziecięcego i młodzieżowego podjął Wydział Handlu i Usług UW. Zniesienie kartek na pozostałe rodzaje butów zależy od wielkości dostaw.

WIEŚCI Z TARGOWISKA. Bez trudu można było kupić ziemniaki po 18 złotych. Aby nabyć po 15 złotych, trzeba było postać w długiej kolejce. Ogórki korniszony sprzedawano po 30 złotych, za większe żądano 20–25 złotych. Duża podaż pomidorów w cenie 30–70 złotych. Inne warzywa: kilogram marchwi — 20 zł, pęczek rzodkiewki — 10 zł. Sporo było jabłek, za które żądano od 30 zł za pogniłe papierówki, do 80 złotych za pięknie wybarwione klasy. Niewiele było drobiu — za półtorakilogramowego koguta proszono 400 zł. Za parę jaj płacono 28 złotych. Jak zawsze było wielu handlarzy używanymi ubraniami i kilku prywatnych wytwórców obuwia — chociaż oglądających było wielu, to kupowano z rzadka, po długim zastanowieniu.

SPROSTOWANIE. W „Punkcie widzenia” w ostatnim numerze nasz etatowy chochlik odurzonej upałem, mylnie odczytał liczbę brakujących pracowników w kłalni Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego: chodzi nie o dwunastu, lecz o dwustu. Natomiast w relacji z obrad plenium KW PZPR podał przewrotnie że „od 30 czerwca 1982 r. szeregi partynie opuściło 1977 osób”. Otóż nie — to w całym I półroczu br. skreślono i wydano z partii 2027 osób.

Redagowanie „Zdarzeń” — WIESŁAW KOŁOWSKI

zdanie tygodnia

Nieszczęściem rolnictwa jest to, że przepisy zmieniają się z dnia na dzień.

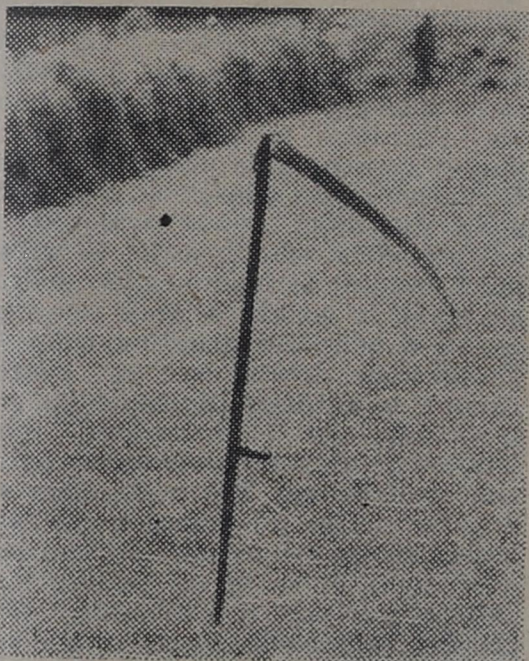
Jan Dziadziak, dyrektor POZH

myśl z atestem

„Naród nie odradza się przez narastanie kieszeni, lecz przez narastanie dusz. Najkorzystniejszy przemysł jakiegos kraju — to wychowanie (...).”

(„Gazeta Łomżyńska” 1921 r., nr 8)





Tegoroczny zbiór żyta był szybki i obfity. W przeciągu niespełna dziesięciu dni ponad 80 proc. rolników skosiło (mimo braku sznurka do snopowiązałek i oleju) i zwiozło do stodoł tegoroczny plon. A wszystko dzięki słonecznej pogodzie i... pilnej konieczności; niektórzy, po zwiezieniu, od razu młócili, by mieć z czego wypiekać chleb i czym karmić swoją zwierzynę. Zdjęcia wykonane zostały w gminie Zbójna, gdzie warunki zbioru są szczególnie trudne. Żyto (i nie tylko) na kurpiowskich piaskach i pagórkach dojrzewa nierównomiernie.

Tekst i zdjęcia GABOR LORINCZY



aby do stodoły



Historię powstawania miast znamy dość dobrze. Większość ludzi sądzi także, że zna współczesne ich problemy: tłok na ulicach, zanieczyszczenie środowiska i otoczenie, zdeformowane życie biologiczne, ale również atuty — bogactwo dóbr materialnych i podniet duchowych, liczne udogodnienia życia codziennego. To jednak tylko zewnętrzność życia miejskiego, bo większość istotnych, podszewkowych spraw skrywają dokumenty urzędów miejskich.

AB URBE CONDITA

powiatowy sen Kolna

HENRYK GAŁA



Dwa lata temu byłem świadkiem takiej sceny: pod jednym z bloków w centrum Łomży lamentowała kobieta w średnim wieku, co — mimo porannej pory rozpoczynania pracy — spowodowało spore zgromadzenie.

— Co się dzieje na tym świecie, samochód ukradli spod bloku. cały samochód, nowego malucha! — pochlipywała niewiasta.

— Żeby tylko kradli, ale już w biały dzień gwałcą — pocieszała ją inna.

— A najgorsza jest ta woda w kranach, całe pranie mi zafarbowala rdzą i co mam zrobić? — martwiła się jeszcze któraś.

— Więc co się dzieje? — okradzioną z samochodu nadal nie mogła zrozumieć swojego pecha. Tłumek zaczął rzędnąć. Jakiś trzydziestolatek powiedział głośno: — Po prostu Łomża zaczyna być miastem.

Wielu dotkliwych przejawów życia miasta nie sposób uprzedzić zapobiegawczym działaniem ani „naprawić” prowizorycznie, jak ma to np. miejsce w przypadku czasowego wykorzystywania mieszkań na cele publiczne.

Jaki jest stan obecny i jaką przyszłość naszych miast przewidują odpowiedzialni za to ludzie? Tu konieczne zastrzeżenie: musimy zdawać sobie sprawę ze skali tych rozważań. Przecież wszyscy mieszkańcy miast w naszym województwie są mniej liczni niż zamieszkujący jedno osiedle w metropolii.

Urbanizacja jako proces społeczno-ekonomiczny staje się jednym z głównych problemów życia ludności i funkcjonowania państwa. Wyliczył ktoś, że gdyby istnienie gatunku ludzkiego zamknąć w 24 godzinach — miasta zajmą zaledwie ich dwie ostatnie sekundy. Dopiero w trzeciej (porównywalnej) sekundzie spodziewać się trzeba pełnego rozkwitu miast. Ponadto wypada przypomnieć fakt, że wiele prognoz, planów i

projektów dotyczących rozwoju grodów nie udało się — choćby w części — zrealizować. Czy zatem we współczesnym świecie zjawisk o nie- spotykanej masowości możliwe jest projektowanie formy istnienia i ostatecznego kształtu miast?

Województwo łomżyńskie należy do obszarów słabo zurbanizowanych. Kolno, Grajewo, Wysokie Mazowieckie, Zambrów i Łomża, do niedawna miasta powiatowe, od sześciu lat znajdują się w zasięgu Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego w Łomży. Jakże są, a jak będą wyglądały za dwadzieścia lat?

— Urbanistyka obecnie jest prawie niemożliwa — mówi Jacek Mieszkowski, dyrektor Biura. — Nowa ustawa o ochronie gruntów oddaje w ręce ministra Rolnictwa decyzje w sprawie zmiany użytkowania ziemi IV klasy. Dotąd na podob-

miasta. Większe nieco przyrosty były w latach wcześniejszych, szczególnie sześćdziesiątych, jako skutek powstających w Kolnie przedsiębiorstw.

Kolno, najstarsze miasto w województwie łomżyńskim, prawa miejskie otrzymało trzy lata przed Łomżą, w roku 1425. Półtora wieku później mieszkało w Kolnie 1600 ludzi. „Potop” wyludnił północno-wschodnią Polskę; w 1673 roku żyło w tym grodzie zaledwie 60 mieszkańców. Proces odbudowy miasta jako zaplecza handlowego i rzemieślniczego okolicznych wsi, korzystne usytuowanie przygraniczne z Prusami, znalezienie się na szlaku ożywionej wymiany towarowej między Warszawą i Królewcem — sprawiły, że Kolno umocniło swój charakter ośrodka miejskiego.

W XX wieku dwukrotnie spalono do

względem: administracyjnym, gospodarczym i społecznym. Nie mieliśmy przemysłu, ale w czasie działania w Polsce trzostopniowego podziału miasto nabrało rumieńców. Obecnie, w nowym województwie, stwierdzam to autorytatywnie jako stary kolniak, przeżywa ono upadek społeczno-gospodarczy. Ten los spotkał wiele miast w całym kraju. Powiatowe Kolno wspominać trzeba ze złą w oku. Przecież, jak cofnąć się do powojennych lat, nie było w tym mieście żadnego uzbrojenia technicznego: wodociągów, kanalizacji, nawet energii elektrycznej. Tego wszystkiego dorobiliśmy się za Polski powiatowej. Gdybyśmy nie byli powiatem, wyglądalibyśmy tak, jak Stawiski, Szczuczyn, Wąsosz czy Wizna.

Władze powiatowe postawiły sobie za cel wyposażenie miasta w podstawowe urządzenia. Tu trzeba było zacząć od naprawy drogi, usuwania kocih łbów na ulicach. Było to tym trudniejsze, że nie mieliśmy potrzebnych do tego przedsiębiorstw; jedyne — budownictwa terenowego — zostało zlikwidowane w latach sześćdziesiątych, kiedy przysłała moda na giganty. Wysiłek się opłacił: z powiatu wyszło Kolno jako uformowany organizm miejski, pozostając ciągle zapleczem handlowo-usługowym dla wsi. Mieszkańcom zapewniło godziwe warunki życia i pracy w nowych zakładach: Przemysłu Dziewiarskiego „Morena”, mleczarskim „Uchwytach” i w usługach; zbudowało nowy szpital, żłobki, przedszkola i dom kultury. Uzbroiło technicznie rozległe tereny pod budownictwo mieszkaniowe. Wydzielono część staromiejską, rolniczą, mieszkalną i przemysłowo-usługową. Myślę, że nie popełniono w tym błędów, mimo że planowanie przestrzenne odbywało się z daleka i za biurka, choć zdarzyło się i tak, że w miejscu istniejącego gospodarstwa rolnego, na przedmieściu Łabna, pacnięto na planie czerwona plamę, co oznaczało usługi lub szkołę, wobec czego właściciel gospodarstwa nie mógł nawet remontować swojej własności. Bywało, że urbanisci szastali terenami, więc dobrze się stało, że weszła w życie nowa ustawa o ochronie gruntów rolnych. Projektując, trzeba być na każdej działce, u każdego użytkownika dotychczasowego i przyszłego, żeby właściwie określić optymalne przeznaczenie terenu. Tak postąpiłem we wsi Poryte po jej kompletnym spalaniu, kiedy byłem architektem powiatowym, i myślę, że jeszcze dzisiaj ludzie tam dziękowaliby mi, chociaż przeprowadziłem zmianę systemu zabudowy. Planowanie przestrzenne, a w szczególności urbanistyka, nie może być sztuką dla sztuki.

Urbanistyczna przyszłość Kolna jest łatwa do przewidzenia: będziemy rozwijać istniejące, stworzone w czasach powiatowych, założenia. W roku 2000 osiągniemy około 12 tysięcy mieszkańców; większość będzie żyć w blokach. Architektura nie zmieni się, zbytnio, bo kształtuje ją możliwość obywateli. Gdybyśmy w naszej przeszłości nie mieli zamożnych obywateli, Polska byłaby dzisiaj pozbawiona zabytków. Czy sprzyja temu obecny sposób traktowania człowieka, który chce budować? Nie — jest on wystarczająco gnębiony przez różnych pośredników, zakłady usługowe, referaty budownictwa itd., żeby go jeszcze niekać rygorami architektonicznymi. Myślę, że bardziej sprzyjały temu dawne struktury administracyjne, w których mniej było mitręg ludzkiego czasu i energii.

Nie dziwi mnie sentyment inżyniera Szostkowskiego do niedawnej, choć bezpowrotnie minionej przeszłości. W odniesieniu do Kolna bowiem wyjątkowo trafnie brzmiał powiedzonko: „Polskę robi się w powiecie, a nie na Nowym Świecie”. Nadzieja w powrocie do samorządności. Ale pod warunkiem, że będzie ona nie tylko możliwa, lecz wspierana również przez ludzi, którzy zechcą być wyrazicielami i strażnikami tej — tak ukochanej przez nas aż do samowoli i anarchii — formy demokratycznego samowładztwa; zarówno w Kolnie, jak i Stawiskach, a także w Łomży i Warszawie. Wtedy, być może, także piękno architektury zależeć będzie od zamożności samorządu, czyli państwa.

Fot. GABOR LÖRINCZY

ne decyzje dotyczące III klasy czekało się po kilka miesięcy. Co będzie teraz trudno sobie wyobrazić a pamiętamy, że ziemi IV klasy jest w Polsce o wiele więcej niż trzeciej. Korzystną zmianę, wprowadzoną przez nową ustawę, jest danie organowi wyrażającemu zgodę na zmianę sposobu użytkowania gruntów uprawnień do egzekwowania od inwestora rekultywacji identycznego arealu. Drugą przeszkodą w wypełnianiu zadań przez urbanistykę jest zdecydowana przewaga budownictwa mieszkaniowego. To coś w rodzaju terroru, zrozumiałego w wielkich miastach i aglomeracjach przemysłowych, ale nie w Łomży. Co bowiem rodzi realne potrzeby mieszkaniowe? Przede wszystkim tworzenie nowych miejsc pracy, konieczność poprawy warunków mieszkaniom żyjącym poniżej standardu i zapewnienie własnych mieszkań ludziom z naturalnego przyrostu. W ciągu pięciu lat ludność Łomży wzrosła o 60 proc., a ile przybyło miejsc pracy, szczególnie produkcyjnych, dających dochód narodowy? Czy 12 tysięcy mieszkańców osiedla Południe żyło przedtem w krytycznych warunkach? Na mniejszą skalę, ale w sposób widoczny, „puchną” inne miasta w województwie. Każde trochę inaczej, z innych doraźnych powodów, kierunek jest jednak jeden: bloki mieszkalne. Coraz częściej spotykamy rolników mieszkających w blokach. Jednocześnie w tym pięcioleciu ludność naszego województwa wzrosła o kilkadziesiąt osób. To, przy porównaniu sukcesów w dynamice miejskiego budownictwa mieszkaniowego (drugie miejsce w kraju), pozwala się domyśleć, w jakim stopniu wyludnia się łomżyńska wieś.

Kolno ma dziś około 8 tysięcy mieszkańców. W ciągu dziesięciu minionych lat ich liczba wzrosła o ponad 15 proc., co świadczy o dość harmonijnym rozwoju

szczętu prawie, dźwigało się wysiłkiem mieszkańców, wspieranych przez państwo. Do roku 1975 było jednym z bardzo nielicznych miast powiatowych, które nie cierpiały na tłok w szkołach, a miejsca w przedszkolach czekały tu ponoć na dzieci. Część mieszkańców żyła z rolnictwa, ale większość — z pracy w przemyśle, usługach i administracji.

— Obecnie dla kilkudziesięciu osób pracy w Kolnie nie ma — mówi inż. Henryk Duda, zastępca naczelnika miasta i gminy. — I na razie żadnych perspektyw, a reforma może jeszcze uszczuplić ilość stanowisk. Mimo to mieszkańców nam nie ubywa. Choć to nie moja działka, bo jestem rolnikiem i nim głównie zajmuję się w Urzędzie, wiem, że kierownictwa zakładów wraz z władzami miejsko-gminnymi będą szukać rozwiązania, choćby w spółdzielni, gdzie ograniczono usługi motoryzacyjne, a zorganizowano produkcję szwalniczą. W miejsce kilku mechaników znalazło zatrudnienie kilkadziesiąt kobiet. W każdym razie kryzys nie spowodował widocznego zahamowania napływu ludzi chętnych do osiedlenia się w Kolnie. Nie jest to fala zbyt wielka. Miasto, oczywiście, stara się potrzeby mieszkaniowe zaspokajać; już jest zaprojektowane osiedle na trzy tysiące mieszkańców. Rozdzieliliśmy też działki pod budownictwo indywidualne, choć zainteresowanie nimi zmalało; sądząc, że to zjawisko przejściowe.

O sprawach miasta więcej wie inż. Stanisław Szostkowski, były architekt powiatowy, obecnie kierownik referatu gospodarki terenowej i komunikacji w Urzędzie Miasta i Gminy. — Kiedy chcemy mówić o Kolnie dzisiejszym, czy o tym, jakie będzie ono w przyszłości, musimy powiedzieć, że Kolno stworzył powiat, tzn. układy powiatowe uformowały z Kolna określony, zwarty organizm; pod każdym

Gdyby rajgradzianie pili wodę z miejskiego wodociągu, można by ją tłoczyć wprost z jeziora. Lecz ujęcie należałoby budować z dala od miasta, bo w rejonie miejskiego kąpieliska woda ma drugą klasę czystości. Wprawdzie nie brudzi jej miejski kolektor, bo takiego Rajgród nie posiada, ale zawsze dotrą tu przecieki z prywatnych szamb, popłuczyny z pól i miejskich ulic, zabiorą wodzie tlen, a przydadzą bakterii z grupy coli.

Wielu jest amatorów kąpiei w Jeziorze Rajgrodzkim. Szkopuł w tym, że nie wszyscy umieją pływać, zwłaszcza po wodce. W tym sezonie w jego wodach utonęło trzech śmiaków, z czego dwóch po spożyciu alkoholu. Wypadki zdarzyły się w maju, kiedy sezon jeszcze na dobre się nie rozpoczął. Był to czas koordynacyjnych narad w Urzędzie Gminy: naczelnik z kierownikami ośrodków wczasowych, prezesem gminnej spółdzielni i innymi zainteresowanymi zastanawiali się wspólnie, jak wczasowiczom stworzyć raj w Rajgrodzie.

Było wiadomo, że do szczęścia zabraknie przede wszystkim mięsa. Gmina otrzymała przydział wielkości 1400 kilogramów miesięcznie. Miała je podzielić między jedenaście ośrodków wczasowych i wiejskie sklepy, do których w żniwa przyjdą rolnicy z kartkami. Przydziały okazały się nader skąpe.

Dom wczasowy „Energetyk” musi stu kilogramami mięsa wyżywić 150 wczasowiczów, natomiast „Kormoran” otrzymał ten sam przydział na 200 osób! Lecz oby tylko tyle było problemów. Oto rajgrodzki gees odmówił „Kormoranowi” dostaw chleba ze względu na „małą wydajność piekarni”. Ale dlaczego — spośród jedenastu ośrodków, którym GS dostarcza pieczywo — zabrakło go właśnie „Kormoranowi”? Kierownik Edward Rzepiejewski domyśla się w tym fakcie ukrywanej złośliwości.

obchodzą wczasowicze? Za swoje cztery i pół tysiąca, bo tyle kosztuje najtańsze skierowanie, musi mieć pełny żołądek. Najchętniej widzi dania urozmaicone np. rybami, a przecie w Jeziorze Rajgrodzkim nie powinno ich brakować. Jednakże w tym sezonie wczasowicze nie zjedli dotąd ani jednej ryby z jeziora; i prawdopodobnie nie zjedzą.

Na majowej naradzie koordynacyjnej postanowiono, że ośrodki wczasowe same będą kontaktowały się z rybakami. Praktyka wygląda inaczej. Kierownik „Kormorana” dzwonił kilkakrotnie do zakładu rybackiego; jeśli w ogóle ryba była, to nie taka, jaką chciał. Bo cóż można przyrzadzić z półkilogramowego leśsza? Z pocałowaniem ręki wzięłby wymiarową płotkę czy sielawę. Proponowano mu węgorza po pięćset złotych, lecz na takie luksusy go nie stać.

Wczasowicze zatem są zdani na własne wędkę lub... zakład rybacki. Za własne pieniądze, poza ośrodkowym menu, zaspokajają swoje rybne „zachcianki”. Dzisiaj, na przykład, było z czego wybierać. Rybacy złowili cztery kilogramy szczupaka, dziewiętnaście kilogramów okonia, sto trzydzieści kilogramów dużej płoci i ponad pięćset — drobiazgu.

— Trochę sprzedaliśmy, ale co zrobić z resztą — zastanawia się kierownik brygady Państwowego Gospodarstwa Rybackiego Zbigniew Toczyłowski. — W magazynie przechowują obecnie pół tony dużej płoci i ponad siedemset kilogramów

gustowie, któremu podlegamy, dysponuje jednym żukiem. Nie układa się nam współpraca z miejscowym geesem; bierze od nas tylko węgorza i szczupaki, bo opłacają się w restauracji. Wiem, że w rajgrodzkich sklepach, a i w wiejskich, ludzie kupiliby rybę, nawet małą płotkę, lecz ktoś musi ją zawieźć. GS się wzbrania, tłumaczy, że ryby z chlebem nie powiezie.

Nie tylko ryb brakuje. W sklepie spożywczym kolejka, w większości złożona z wczasowiczów. Ekspedientka nie zachęca wahającej się klientki do kupna wyschniętej kury za sto osiemdziesiąt złotych. — Trzeba ją długo gotować — mówi.

Przy pomocy klienta udaje się rozkroić zmarzniętą bryłę żółtego sera. Szybko znajdują nabywców ostatnie trzy, splekane, bochenki chleba. Sprzedawczyni dojeżdżają spoza Rajgrodu, sklep jest więc czynny od ósmej do osiemnastej i nie prowadzi sprzedaży mleka w płynie, tylko w proszku. Z napojów — jedynie woda stołowa i dwa rodzaje wódek: stołowa bez kartek i bałtycka na kartki.

Tych atrakcji pozbawiony jest drugi sklep spożywczy, zlokalizowany w rynku. Ekspedientka sprzedaje ostatnie dwa kilogramy cukru. Pracuje tu od niedawna, nie zna więc zwyczajów klientów. Jak przyjdzie rano obóz wędrowny, już o dziesiątej brakuje chleba i mleka.

W poczekalni autobusowej zamknięty zieleniak Sprzedawczyni wywiesiła kartkę: „Wyszedł po towar”. Przez zakratowane okienko widać trzy butelki keczupu po sto złotych, dwie soku ananasowego po sto dwadzieścia, kilka główek czosnku, trochę zeschniętej marchwi i liżaki.

Na straganie pani sprzedaje główki kapusty po dwadzieścia pięć zło-

do zapitki podają tu tylko napój firmowy, jabłkowo-porczezkowy, o zapachu nie konserwowanych urządzeń wodociągowych.

Może inaczej wyglądałaby oferta restauracji, gdyby olsztyński dyspozytor FWP nie rozwiązał umowy. W hotelu też niewielu gości, mimo obniżki cen. Według pierwszej kalkulacji — za łóżko w jednoosobowym pokoju żądano trzysta pięćdziesiąt złotych; teraz kosztuje dwieście pięćdziesiąt, ale i tak niewielu decyduje się na urlop w klitce bez łazienki, ciepłej wody, i z nie największą pościelą. Korzystają z tych dóbr co najwyżej bywalcy sobotnich dancingów.

Z rozrywką też nie jest najlepiej. Nawet na dancingi nie chce się ludziom przychodzić. Tylko na sobotnich bywa komplet gości; z czwartkowych trzeba będzie zrezygnować. Miejskowy Ośrodek Kultury robi, co może, aby turyści się nie nudzili. Wiadomość o jego wysiłkach można odczytać (jeśli się okaże nieco dobrej woli i przechyli głowę) na tablicy informacyjnej: „Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie zaprasza w sezonie letnim na lato z filmem w każdy czwartek o dwudziestej pierwszej. Mitośników tańca na letnie dyskoteki”. Druga część tablicy zarezerwowana na informacje z biblioteki. Ze zrzucanych na stos obwołów można się zorientować, że wzbogaciła się ona m.in. o książki „Życie codzienne magnaterii polskiej w XVII wieku” i „Trójkąt diabła”.

Wędruję na miejską plażę. Królują tu dwie tablice. Jedna informuje, że plaża znajduje się pod zarządem Urzędu Miasta i Gminy w Rajgrodzie oraz — co oznaczają flagi: biała, żółta i czarna. Litera drugiej nie oparły się słońcu i deszczom. Niewielu chętnych do plażowania. Nikt się nie kąpie. Odstrasza betonowe obramowania



letni raj

interwencje

Przed kilku laty GS nie wypłacił odbiorcom im należytą marży; kierownicy innych ośrodków, prawdopodobnie bogatszych, machnęli na te pieniądze ręką, zaś szef ośrodka „Kormoran” się uparł, napisał pismo do WZSR-u i swoje otrzymał. Dzisiaj został zmuszony do szukania innego dostawcy. GS w Grajewie podjął się piec chleb wczasowiczom z „Kormorana”. Trzeba będzie więcej zużyć paliwa za transport.

Kończy się dwuonowy zapas ziemniaków. Te przynajmniej są na miejscu. Nie trzeba szukać uspołecznionego dostawcy, można kupić od rolnika indywidualnego.

Ale cóż zaopatrzeniowe problemy

małej. Oczekuję na potwierdzenie odbioru ryb przez jeden z ośrodków wczasowych. Ale on i tak wszystkiego nie weźmie. W sobotę przechowywaną płoc wyśle się do Giżycka; tam ją przerobią na maczkę rybną. Kłopoty ze zbytem zaczęły się po podwyżce cen. Węgorz żywy (pięćset złotych) czy śniaty (trzysta czterdzieści złotych) zawsze zostanie sprzedany. To samo dotyczy szczupaka średnich wymiarów (sto siedemdziesiąt złotych), czy sielawy (osiemdziesiąt złotych). Najgorzej jest z płotką (kilogram dużej kosztuje czterdzieści złotych). Dwa dni temu chciałem sprzedać szczuczyńskiemu geesowi trzysta kilogramów płoci. Odmówił, chyba że dostarczyłbym własnym transportem Zakład w Au-

tych Turyści pytają o ziemniaki — nie ma i nie wiadomo, kiedy będą

Pozostaje geesowska restauracja. O dziesiątej jest jeszcze śniadanie. Nie żadne tam zupy mleczne, ale solidna jajcznica z dwóch jaj za trzydzieści pięć złotych; jest też bigos. Smakosze mogą zaplanować obiad. Danie główne: kaczka pieczona za dziewięćdziesiąt osiem złotych; są i goląbki z kaszą za trzydzieści dziewięć złotych. Pięćdziesięciogramowa porcja węgorza w galarecie — pięćdziesiąt pięć złotych; stugramowy smažený szczupak — czterdzieści pięć złotych. Wyszukané dania nie przyciągają jednak klienta. Alkohol taniej kupi w sklepie, zwłaszcza że

brzegu i pływające wodorosty. Smutna to plaża. A na drugiej stronie Jeziora Rajgrodzkiego pomosty pełne ludzi

Siadam na ławce w cieniu osiki, podejmuję decyzję. Sierpniowy urlop spędzę w domu wczasowym, choćby najskromniejszym. Nie wezmę namiotu, nie będę codziennie martwił się o zaopatrzenie, o gotowanie posiłków. Nie pozwolą mi rozbić namiotu w leśnej głuszy, tylko na hałaśliwym polu namiotowym, chociażby jedynym jego wyposażeniem był śmietnik. Jak — na przykład — w Tamie

WIESŁAW KOŁOWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



W dniach 12—14 maja 1926 r. Józef Piłsudski dokonał przewrotu wojskowego. Był to wielce nietypowy zamach stanu, zrealizowany z poparciem lewicy społecznej (łącznie z komunistami), ale — jak się później okazało — zgodnie z interesami sił prawicowych. Prof. Andrzej Garlicki zamieścił w swej ostatniej książce („Od maja do Brześcia”) zdanie pozornie sprzeczne wewnętrznie: „Celem Piłsudskiego była bowiem zasadnicza zmiana dotychczasowych struktur politycznych, ale, by cel ten zrealizować, zachował strukturę dotychczasową”. Dlatego nie rozwiązano Sejmu i Senatu, nie zawieszono działalności partii politycznych, nie zakazano druku prasy. Dla Piłsudskiego wartością najwyższą był interes państwa, zaś „siła państwa — zauważa Garlicki — zależna była jednak nie tylko od stworzenia odpowiednich struktur, ale też, w równej mierze od ich akceptacji przez większość społeczeństwa, co było oczywiście najtrudniejsze”. Zwycięzcy podjęli zatem próbę podporządkowania interesom państwa interesów społecznych, partyjnych, narodowościowych i — co się z tym wiąże — wzmocnienia władzy wykonawczej, a osłabienia (zlekceważenia) roli parlamentu. W miarę upływu czasu rósł jednak legalny opór przeciwko tak pojętej „sanacji”. Również w sejmie II kadencji (1928—1930) piłsudczykowskie „partijny Blok Współpracy z Rządem (BBWR) nie miał bezwzględnej przewagi. Obrażony parlament nie ustępował; pociągnięto do odpowiedzialności ministra finansów, Gabriela Czechowicza, za nielegalne wydanie 8 milionów na cele wyborcze BBWR, uchwalono wotum nieufności wobec rządów pułkowników, a Ignacy Daszyński — jako marszałek sejmu — odmówił otwarcia obrad „pod bagnietami, karabinami i szabłami”. Sześć partii (Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Chłopskie, Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” i PSL „Piast”, Narodowa Partia Robotnicza, Chrześcijańska Demokracja) zawiązało sojusz (Centrolew) w obronie systemu demokracji parlamentarnej. 29 czerwca 1930 r. odbył się w Krakowie Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu.

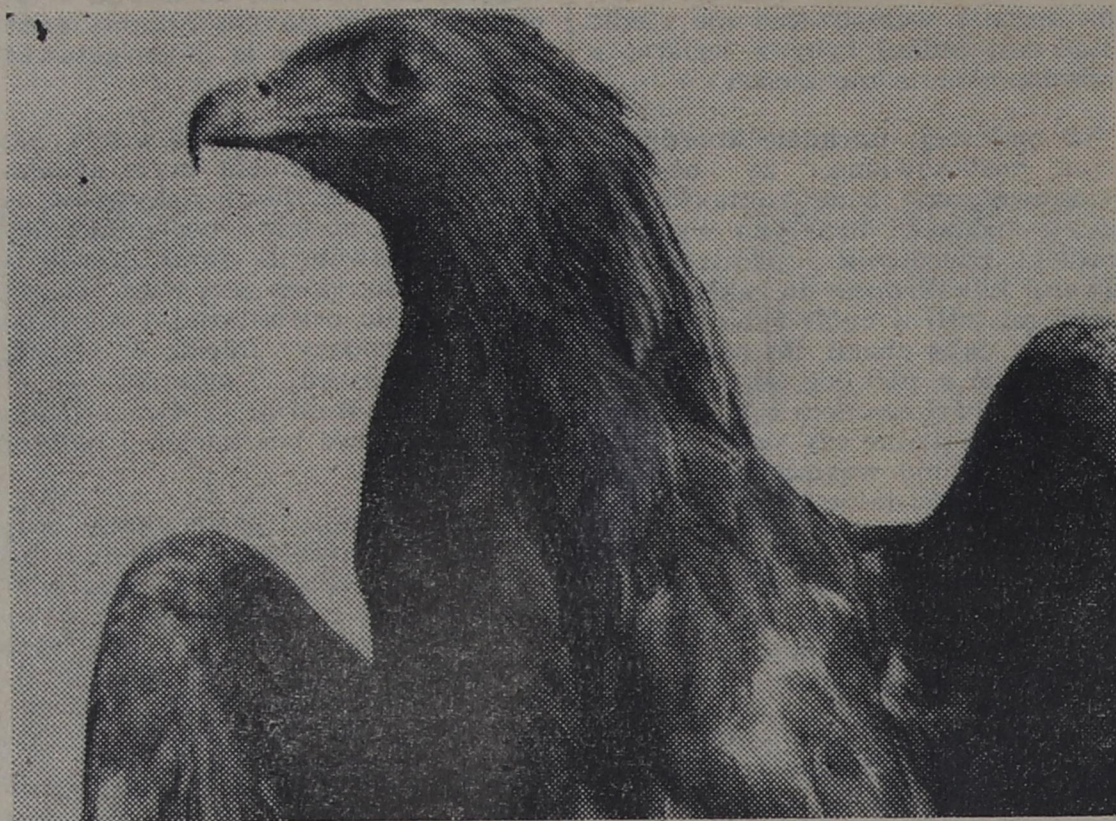
W tej sytuacji Piłsudski zdecydował się na rozwiązanie obu izb. W nocy z 9 na 10 września 1930 r. aresztowano kilkunastu posłów partii opozycyjnych i przewieziono do więzienia wojskowego w Brześciu nad Bugiem. Hermana Liebermana nobito już w drodze wszystkich innych szykanowano i znieważano. Wierdzy brzeskiej, dowodzonej przez płk. Wacława Kostkę-Biernackiego. Po raz pierwszy w najnowszych dziejach Polski w tak jaskrawy sposób pogwałcono prawo, złamano „normy etyczne” — napisał prof. Andrzej Ajenienkiel.

26 października 1931 r. w warszawskim Pałacu Pacy przy ul. Miodowej (siedziba Sądu Okręgowego) rozpoczął się proces 11 więźniów „brzeskich”. Na ławie oskarżonych zasiadli posłowie z PPS: Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Mieczysław Mastek, Herman Lieberman, Adam Pragier oraz posłowie stronnictw ludowych — Kazimierz Bagiński, Władysław Kiernik, Józef Putek, Adolf Sawicki, Wincenty Witos. Prokuratura zarzuciła im, że „wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby, wskazane bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego”. Obrony przywódców Centrolewu podjęli się czołowi adwokaci polscy, wśród nich — uczestnicy procesów politycznych doby zaborowej (Leon Berenson, Kazimierz Sterling). Pomimo niedawno przebytego ataku serca, stanął w potrzebie także Eugeniusz Śmiarowski. Oficjalny obrońca Bagińskiego i Liebermana nie mógł jeszcze przybyć na inauguracyjne posiedzenie sądu, ale przygotował i wygłosił mowę 2 stycznia 1932 r., w 50 dniu rozprawy.

Wcześniej oskarżony socjalista Lieberman, w wyjaśnieniach składanych 27 października 1931 r., powiedział: „Nie jest prawdą, że przygotowywałem zamach, że przygotowywałem rewolucję. Prawda jest natomiast, że chciałem rząd marszałka Piłsudskiego usunąć i że chcę usunąć go i teraz, tylko chciałbym to uczynić drogą parlamentarną, a ponieważ w walce parlamentarnej ostatnie słowo zawsze ma prezydent

KRASOMÓWCA RODEM Z ŁOMŻY

Przed dwoma miesiącami przedstawiliśmy w „Kontaktach” (nr 9/82) sylwetkę Eugeniusza Śmiarowskiego, adwokata rodem z Łomży. Urodzony 8 maja 1878 r., uczestniczył w procesach rewolucjonistów 1905—1907, a w II Rzeczypospolitej awansował do grona najznakomitszych obrońców politycznych. Sławę przyniosły mu m.in. wystąpienia w procesie osób obwinionych o wywołanie „powstania krakowskiego” (listopad 1923 r.), w sprawie kooperatystów lubelskich, członków białoruskiej „Hromady”. Mowy Śmiarowskiego były „nieprzeciętną lawiną, która bierze duszę w niewolę”, doskonałym połączeniem pięknego słowa, logicznej konstrukcji i głębi myśli. Część z nich wyszła drukiem i dzięki temu możemy podziwiać także my.



fatalna konieczność dziejowa

Rzplitej, chciałem obalić ten rząd przez rozpisanie nowych wyborów, któreby przekonały marszałka Piłsudskiego, że większość społeczeństwa stoi za opozycją”.

Oskarżony ludowiec Bagiński 29 października 1931 r. oświadczył: „Widzę cmentarzysko moralne. Wszystko się łamie: ludzi, sumienia, charakter. Łamie się wszelką zorganizowaną siłę twórczą. Z odcinka wsi, który jest mi najbliższy, mogę stwierdzić, iż samorząd tam nie istnieje — został starosta i policjant... Ta metoda zrodziła niewiarę... W nas rośnie ból i troska o państwo. Dlatego przestałem być piłsudczykiem”.

2 stycznia 1932 r. przemówił Eugeniusz Śmiarowski. Oto fragmenty jego wystąpienia (niestety, niezbyt precyzyjnie zapisane). „Zabieram tutaj głos osiemnasty [obrońca] z rzędu i doprawdy z całą szczerością oświadczam, że nie mam na tyle w sobie próżności, ażeby przypuszczać, iż moje przemówienie w jakiegokolwiek bądź mierze mogłoby wpłynąć na ukształtowanie się w panów, Panowie Sędziowie, sercach i umysłach poglądu na tę sprawę. My wszyscy obrońcy wygłaszaliśmy nasze obrony z przekonaniem, że właściwie wszystko jest już w tej sprawie rozstrzygnięte.

Jakaż jest zatem rola w tym historycznym procesie nas, obrońców? My prowadzimy dalej tę linię, która idzie od zeznań oskarżonych poprzez zeznania świadków aż do naszych przemówień i która w jej całokształcie jest linią walki o lepszą w Polsce rzeczywistość. Bo tak się stało, że od 50-ciu dni w tej sali odbywa się obnażanie bolączek polskiego organizmu i toczy się jakaś wielka narada nad sposobami jego leczenia”.

Obrońca podkreślił, że pierwszy zarys aktu oskarżenia, zawarty w wywodzie z dnia 14 września, został poszarpany na strzępy przez rzeczywistość. Z tamtych zarzutów nie pozostało nic, prócz nędznej sensacji jednego dnia.

„Takie było pierwsze usiłowanie pomniejszenia nie win, lecz ludzi. Drugie pomniejszenie oskarżonych zjawia się w przemówieniach pp. prokuratorów, którzy chcą obdrzeć oskarżonych ze wszelkiego uroku działaczy ideowych, ludzi zasad i przekonania. Panowie prokuratorzy przenoszą sprawę na grunt jakiejś historyzacji, z której rzekomo ma wynikać, że wszelka rewolucja, wszelka walka o prawo jest czymś

bardzo pospolitem, bo dotyczy jedynie nędznych celów uciekania się o władzę, stanowiska i zaszczyty.

Nie o władzę tutaj chodziło i nie o panowanie. Chodziło o zasady wielkie i ważne, dotyczące bytu Rzeczypospolitej. Chodziło o nic innego, jak o program naprawy Rzeczypospolitej. Bo oto przedziwną a tragiczną losów koleją, zaraz po odrzuceniu Polski owo hasło i ów program wraca jak jakaś fatalna konieczność dziejowa. I oto marszałek Piłsudski podnosi hasło naprawy Rzeczypospolitej. W oświadczeniu z nocy 12 na 13 maja 1926 r. Piłsudski wyraźnie oświadcza, że idzie pod hasłem honoru, cnoty i męstwa, i pod drugim hasłem, że nie może być niesprawiedliwości w Polsce w stosunku do tych, którzy dla niej pracowali i pod trzecim hasłem, że nie może być w Polsce za dużo nieprawości”.

Na podstawie pism i oświadczeń Piłsudskiego — obrońca sformułował ten program jako walkę z partyjniactwem, nadużyciami, korupcją i bezkarnością.

„A teraz, zamiast wchodzić w czcze rozważania na temat, czy zamach został, czy nie został zalegalizowany, chcę postawić zapytanie praktyczne i moralne. Czy nastąpił jedynie spór o legalizację zamachu, któryby mógł go usprawiedliwić w oczach narodu, który mógłby usprawiedliwić złamane prawo i przelaną krew, czy nastąpiło spełnienie zapowiedzi przez wykonanie programu naprawy? Odpowiedź dał ten proces. Odpowiedź jasną i jednoznacznie tragiczną. Więc przede wszystkim trzeba sobie powiedzieć, że po zamachu majowym wolno było oczekiwać, że będzie położony kres oburzającym nadużyciom, że czystość rak i czystość sumień będzie kanonem obowiązującym przynajmniej tam gdzie jest państwo, gdzie są rządy gdzie jest władza. I cóż się okazuje po doświadczeniach lat kilku? Okazuje się, że jesteśmy jak najbardziej dalecy od tego, co nam obiecywał zamach majowy, że państwo jest w dalszym ciągu żerem dla łajdaków i szujów. Rozpoczniemy od żeru wielkiego. Nie będę poszerzał spraw, które wszechstronnie były już ocenione, spraw ośmiu niedawno (wydanych na akcję wyborczą BBWR) milionów, tych rzeczy, które się wiążą z Najwyższą Izłą Kontroli, ale z zeznań świadków wezmę pewne dane, które przedstawiają obecny stan rzeczy, ażebyśmy zobaczyli, jak wygląda owa walka z nadużyciami w obronie państwa przed rozkradaniem go na wewnątrz, a śmiesznością na zewnątrz.

Taka jest pięcioletnia historia realizacji programu naprawy Rzeczypospolitej. Historia tragiczna, smutna. Program naprawy Rzeczypospolitej z 1926 r. — rzeczywistość podarła na kawałki i program ten trzeba zacząć zbierać z gruzów, z rumowisk, ze śmietnisk i nadburzańskich błot, i klepać go, i składać na nowo.

I jakkolwiek byśmy ustosunkowali się politycznie do działalności Centrolewu, musimy stwierdzić, że ta działalność nie jest niczym innym jak wykonywaniem programu naprawy. A jeżeli w tej akcji na pierwszy plan wysuwają się zagadnienia polityczno-prawne, to jednak na dnie świadomości zarówno działaczy, jak i prowadzonych przez nich mas ludzkich, jest walka ze złem, które toczy naród i państwo. Potwierdzenie tej tezy znajdziemy zarówno w zeznaniach świadków, jak i w dokumentach. Aktualni politycy i szefowie stronnictw, działacze społeczni, stojący poza polityką, którzy zetknęli się z działalnością Centrolewu — wszyscy jasno i wyraźnie podkreślają owa moralna stronę zagadnienia. Ale przede wszystkim trzeba powiedzieć od razu, że zjawiskiem przede wszystkim moralnym jest samo zjednoczenie stronnictw”.

Następnie Eugeniusz Śmiarowski mówił o Liebermanie i Bagińskim. „Przy rozpatrzeniu tej sprawy ze strony moralnej okazało się, że wtedy, kiedy ten (Piłsudski), co władzę nad Polską zdobył pod hasłami moralnymi, hasła te przez odrzucił, że kiedy ten, co przyszedł rządzić z wiarą w swój Naród, wiarę tę stracił — to wtedy do apelu stało zbiorowisko ludzi, którzy te same hasła na nowo podjęli i wiarę w swój Naród znów wskrzesili. A za to, że swego Narodu nie nazywali narodem idiotów, ale jak gdyby z Wyspiańskim wołali: «O Boże! Miły Boże! Ty nie znasz nas Polaków. Ty nie wiesz, czym być może straż nasza u Twoich znaków» — za to, śmiem twierdzić, wyrok skazujący im się nie należy”.

Następnie oskarżeni wygłaszali tzw. ostatnie słowo. Broniony przez Śmiarowskiego Kazimierz Bagiński powiedział: „Jeżeli z tej sali nie widzę otucha dla złośliwej i umęczonej duszy, mas chłopskich, wołających o praworządność, to wyjdzie z mora niewiary. A grozi ona Polsce bezsilną, grozi tem, że obywateli nie będzie można znaleźć, kiedy Polska od nich czegoś wielkiego zażąda. A gdyby do nich przyszła wieść, że to umęczone prawo zostało potępione, przyjdzie na nich szok. W takiej Polsce przestaną służyć swoich nadziei. Kto zbierze niezadowolone szarych mas i kto ich użyje za swoje narzędzie, nie wiem. Niechaj z tego sądu padnie na Polskę jasność”.

W swoim ostatnim słowie Herman Lieberman stwierdził: „My wierzymy w naród a on gardzi nim i poniewiera jego godność. My uważamy za podstawowy warunek cywilizacyjnego rozwoju narodu polskiego wolność. p. Piłsudski chce utrzymać chłopca i robotnika w korbach «łaba»”.

A oto wypowiedź oskarżonego Wincentego Witos. „Wychodząc stąd — w dalszym ciągu będę tym rewolucjonistą, jakim byłem — będę głosił, że prawo i wolność są największymi skarbem narodu, że największe dla państwa niebezpieczeństwo stanowi bezwolny i bezduszny niewolnik, że Polska winna się oprzeć na całym społeczeństwie, że w Polsce wszyscy winni być równi wobec prawa, że potęgę jej nie stworzy ani przyszłości nie zapewni żaden geniusz, ale cały, wolny, świadomy twórca historii. Czy ma być on typem poddanego, biernym przedmiotem, czy typem człowieka, samym kregosłupem g. dności ludzkiej”.

Natomiast Stanisław Dubois oświadczył: „My, oskarżeni, w tym historycznym procesie, nie mamy się z czego tłumaczyć, bo my właściwie jesteśmy tu oskarżycielami. [...] Walczymy ze sobą o typ człowieka. Czy ma być dołowym, niezależnym obywatelem kraju, z poczuciem odpowiedzialności za losy państwa, świadomym twórcą historii. Czy ma być on typem poddanego, biernym przedmiotem, czy typem człowieka, samym kregosłupem g. dności ludzkiej”.

13 stycznia 1932 r. sąd wyrok. Niestety, od winy uwolnił tylko Adolfa Sawickiego; pozostali posłowie — działacze Centrolewu — otrzymali kary więzienia od 1,5 do 3 lat. Mimo oburzenia szeroki krągów społeczeństwa wyroki te zatwierdził Sąd Najwyższy w dniu 5 października 1933 r. W tej sytuacji Bagiński, Kiernik, Lieberman, Pragier i Witos wybrali emigrację polityczną. Witos napisał w liście pożegnaniowym: „Opuszciliśmy Polskę, aby dalej prowadzić walkę ze znieprawdą przez naród dyktaturą”. Tych zdarzeń nie dożył już Eugeniusz Śmiarowski; zmarł nagle 8 października 1932 r.

ADAM DOBRŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

karze, na przykład, stwierdzili, że w sobotę ramiona u górników są nawet pięć centymetrów niższe aniżeli w niedzielę. Mierzyć go na początku czy na końcu tygodnia? Tajemnica kroju. Jak to się dzieje, że gdy skroi jeden, to wszystko ładnie dopasowane, jak inny — ubranie leży na człowieku jak flak. To zadziwiało mistrza Danowskiego jeszcze w Rutkach.

— Pamiętam, że gdy w roku 1920 drenowali grunt wokół kościoła rutkowskiego, natrafili na trumnę obitą metalem. W trumnie spoczywał zapewne kościół rycerza, bo miał obrzuty miecz przy boku, na czaszce ciemne włosy, spięte żelazną obręczą, a na palcach pierścienie. Oglądaliśmy to znalezisko kilkakrotnie w izien, bo szkoła znajdowała się obok kościoła, w domu Kolegowskich. Trumnę ponownie zagrzebali. Teraz przy zbieraniu archiwów przypuszczam, że mogły to być zwłoki Świętosława.

Wacław Danowski urodził się w Rutkach 21 grudnia 1903 r. z ojca Bolesława, stolarza. Nie miał ochoty na dołączenie do cechu stolarskiego. Wybrał zawód matki. A przyczyna była całkowicie prozaiczna. Zniechęcił ten fach, bowiem ojciec, jak to zwykle przed wojną bywało, zatrudniał w warsztacie swoich synów do pomocy. Już o trzeciej rano zrywał ich z łóżek. To wczesne wstawanie może sziłoby wytrzymać, ale ojciec miał zwyczaj właśnie wówczas ostrzyć piły. I wystawiał na próbę uszy swoich synów jęklącym piśkiem, który mógł znieść tylko giuchy. Nikt z nich nie chciał być stolarzem.

Mistrz Danowski poszedł do Gródzkiego, najlepszego krawca w Rutkach. Terminator oplać naukę żytem. Taksa była stała: 8 metrów — zaraz albo na raty. Oplata bardzo wysoka. Nawet ci, co pola nie mieli, również zbożem płacili za naukę. Ojciec mistrza Danowskiego również wyłożył 8 metrów, ale odbił sobie na tych, którzy do niego przyszli się uczyć stolarskiego fachu. Zanim w 1927 r. wyjechał do Warszawy, pracował w Łomży, Zambrowie. W Łomży u pana Konopi, który jeszcze z Petersburga przywiózł przyrządy do prasowania („a wyprasować w Petersburgu”). Każda listeweczka, każdy kancik był parzony, wytrzymany na sucho i żelazkiem przyłożony. Wszystko wychodziło jak narysowane. Tylko dwie marynarki po uszyciu mógł w jeden dzień wyprasować żelazkiem i parą; jedną w sześć godzin. Prana 20 razy, noszona 20 lat, a wyglądała jak nowa!

— Tyl mówił mi (to malarz, mieszkał w Rutkach, ale już zmarł), że jego kuzyn, co w Starych Rutkach ma ziemię, wykopał stamtąd czarne, smoliste modrzewiowe bale. Właśnie w tym miejscu mieszkali pierwsi rutkowianie. Kiedy Marcin Mężeński, dziedzic wsi Rutki i Ożary, wybudował kościół na wzgórzu, ludność Starych Rutek z mokradel w dolinie przeniosła się o półtora kilometra i zamieszkała w pobliżu.

W Warszawie mieszkała koleżanka matki i ta pomogła mu urządzić się w stolicy. Pierwszą pracą, chaluportem, otrzymał u Jezińskiego; brał robotę i wykonywał ją w domu. Ożenił się z warszawianką (urodzoną w Zendorfu) i osiadł tam na stałe, dopóki tęsknota rutkowska nie przygnęła go w rodzinne strony. Ponieważ u brata było za ciasno — postawił małe efektywne z zewnątrz domki z pustaków, przez rodzinę nazywany „Wacówką”.

Starannie pielęgnowany przez żonę Janinę warzywnik, a przez niego trawnik — obrastają dom spokojnością, oddzielając go od hałaśliwego otoczenia, przed którym mistrz ucieka już każdego lata. Ponad pół wieku mierzy i kroi Letniskowy charakter domku nie tuszuje wcale zainteresowań właściciela. W pokoju przygotowane skrypty, rękopisy nowej książki, modele figur i krajów; wśród nich — mała kobieca figurka, otulona papierem, oklejona taśmą. Postanowił, że wymyśli taką metodę krojenia odzieży, która pozwoli każdej kobiecie uszyć sobie sukienkę. Szyja — przecież paryżanki, Niemki, Angielki, a Polki nie. Dlaczego? Bo kroić nie potrafią. Jego sposób ma być bardzo łatwy: kobietę oblepi się papierem, po narysowanych liniach przetnie — papier, nie ją — a potem przyłoży do materiału i wykroi już gotowy. Proste, jak ulica w Rutkach.

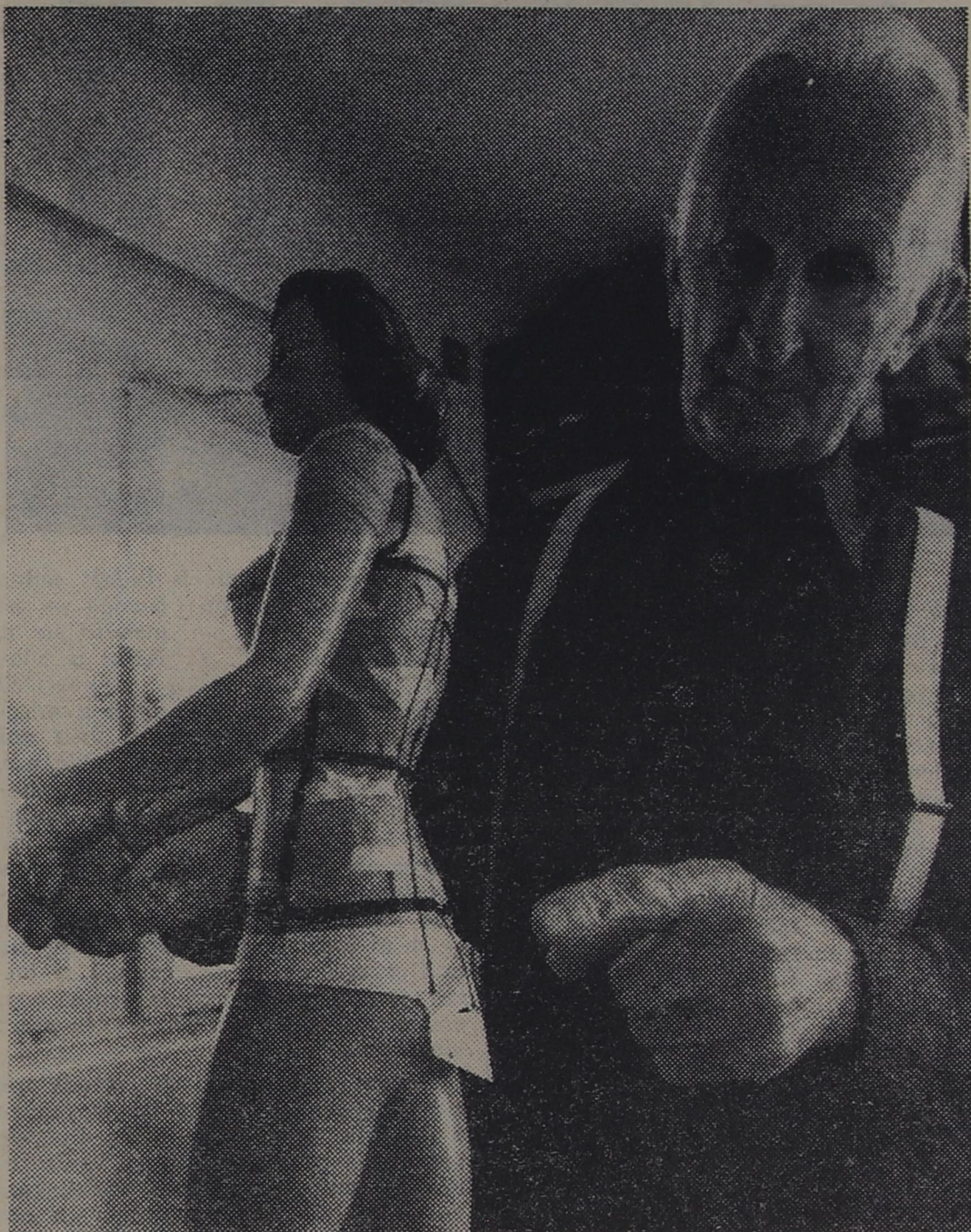
— Do XVI wieku, proszę pani,

mieszkali tu Rutkowscy, drobna szlachta. Potem wieś została wykupiona przez Mężeńskich, a następnie Opackich, z których Stanisław, chorąży wisk, uzyskał od Augusta III w 1780 r. prawa miejskie, magdeburskie. To chyba wówczas Rutki otrzymały taki układ urbanistyczny, z dużym rynkiem i sześcioma wybiegającymi z niego ulicami. Miasto już w połowie XIX wieku spadło do rządu wsi.

go, by jeszcze raz poznać tajniki krojenia przez mistrza. Mają tam swoją firmę. U nich wszystko jest tanie: skórki o połowę, bo przywożą je bez cła; buty, bo ze zlikwidowanej fabryki w Hiszpanii... Mogą sprzedawać taniej niż gdzie indziej, skoro taniej kupili. Żydzi to jedna ręka w świecie. Nasi rodacy tak się nie trzymają, krzywo patrzą jeden na drugiego. Konkurencja. To gorzkie doświadczenie mistrz przywiózł również

Świat na końcu igły

ALICJA ZAGÓRSKA



Zdzieranie skóry z klienta — tak można dowcipnie nazwać wymysłony przez mistrza sposób krojenia odzieży. Podpatrzył go w Paryżu, w firmie Tati, która specjalizuje się w modelowaniu odzieży. Ale wcześniej mówili mu o nim jacyś amerykańscy kuśnierze, których przysłało do niego, gdy pracował w sklepie „Ambasador”. Na klienta nakłada się gabkę 4–5 centymetrową, wygląda, przyciska, i w parę minut model jest odbity; później się rozcina i po kłopotach. Są też podgumowane płyty z m. ślinu: wygląda się je gabką i forma gotowa. Tylko kto je wymyślił? Może jednak lepsze modele z papieru!

— Wynotowałem trochę ciekawostek o Rutkach. Na przykład: w roku 1921 liczyły 153 domy i 1368 mieszkańców; do 1939 r. było już ponad 3 tysiące mieszkańców, ale połowa to Żydzi. W Rutkach mieliśmy blisko 30 sklepów, młyn parowy, od którego płynęło światło elektryczne. 5 wiatraków, wytwórnię oleju i wód gazowanych, 6 piekarni, 4 warsztaty stolarskie, 32 szewskie, 14 krawieckich, a także bednarskie, ślusarskie, kowalskie i inne. Rutki miały restaurację i herbaciarnię. Dla wszystkich zajęci starczyło, bo odbywały się w każdej środę ogromne jarmarki. Poza tym na kilka lat przed wojną Rutki stały się kurortem dla ludności żydowskiej. Przyjeżdżali z Białegostoku, Warszawy leczyć płuca „mahoniowym powietrzem”.

Do Paryża Danowski wyjeżdżał całkiem niedawno, ledwie czterdzieści lat temu. Zaprosili go kursanci pochodzenia żydowskie-

z zagranicy. Swój pierwszy wyjazd odbył do Wiednia, gdzie chciał ukończyć kurs krojczych. Było to w latach pięćdziesiątych. Zebrał pieniądze, kurs opłacił, ale państwo nie chciało dać paszportu, bo i po co, jak by go tam nikt nie przenocował i nie utrzymał — motywowano odmowną odpowiedź. Ale miał inne, „mocniejsze dokumenty”: znał esperanto. Są księgi na świecie, które odnotowały według zawodów wszystkich esperantystów. Mistrz znalazł takiego w Wiedniu, napisał do niego i szybko udało mu się zaproszenie. Esperanto, języka sztucznie stworzonego przez Zamenhoffa, zaczął się już uczyć w Rutkach; namawiali go do tego żydowscy koledzy. Potem zabral się w czasie okupacji, bo godziła policja zaczynała się o ósmej; no i chciał się odprężyć po pracy. Poszedł pewnego dnia do księgarni. Księgarz spojrzął na niego zdziwiony. Takie podręczniki, przez Żydów jeszcze napisane, były zabronione! Ale cichcem podpowiedział, żeby zjawił się za kilka dni, to mu przygotuje. Miał więc podręcznik do esperanto, ale zrzucił naukę, bo zwałali mu mnóstwo roboty do szycia. To Niemiec rzucił tobi materiał na stół, bo żona po naloce sówieckim na wodociągi została w piwnicy bez ubrania. Na kurs esperanto poszedł dopiero po wojnie, by wiedzę gromadzić ze świata. Po wojnie zaczął uczyć zawodu w szkole; lżej było, podatków nie musiał płacić.

Pewnego dnia przyszli do niego z prośbą, by skroił trzy „rozmiarowzrosty”, tzn. mniej więcej proporcjonalne do wzrostu formy modela-

Wacław Danowski urodził się w Rutkach 21 grudnia 1903 r. z ojca Bolesława, stolarza. Nie miał ochoty na dołączenie do cechu stolarskiego. Wybrał zawód matki. A przyczyna była całkowicie prozaiczna. Zniechęcił ten fach, bowiem ojciec, jak to zwykle przed wojną bywało, zatrudniał w warsztacie swoich synów do pomocy. Już o trzeciej rano zrywał ich z łóżek. To wczesne wstawanie może sziłoby wytrzymać, ale ojciec miał zwyczaj właśnie wówczas ostrzyć piły. I wystawiał na próbę uszy swoich synów jęklącym piśkiem, który mógł znieść tylko giuchy. Nikt z nich nie chciał być stolarzem.

— Dziwi się pani, dlaczego pocztą Rutki—Kossaki? Otóż w XIX wieku i na początku XX istniały dwie pocztę: jedna w Rutkach, druga w Kossakach dopisano Rutkom Kossaki dla odróżnienia, bo Rutek w Polsce jest wiele.

— Dziwi się pani, dlaczego pocztą Rutki—Kossaki? Otóż w XIX wieku i na początku XX istniały dwie pocztę: jedna w Rutkach, druga w Kossakach dopisano Rutkom Kossaki dla odróżnienia, bo Rutek w Polsce jest wiele.

Dzięki esperanto zebrał 250 podręczników, zwiedzał świat i poszerzał swoją wiedzę. Przekazywał ją potem innym na kursach w całym kraju. Mistrz jednak powiada, że z całego swojego doświadczenia wie, że kursy nic nie dadzą, jeżeli nie włoży się własnej pracy, nie zdobędzie wiedzy własnym doświadczeniem. Jeden z kursantów już trzykrotnie raz zapisuje się na naukę i nie z tego, taki pechowiec. A przed nim, Danowskim, już teraz nie ma tajemnic w tym zawodzie. Teraz modelował boletko do ślubnej sukni: tu, z boku, rozcięcie, tu szczypanki, a z tyłu w ząbek, kołnierzyk stojąca, z przodu krótsze. Ten model na pewno zdobędzie Złotą Iglę w Warszawie. Rzemiosło, wbrew temu, co się uważa, jest wielką sztuką, trzeba mieć je we krwi. Jak ksiądz w Rutkach zrobił sam model, to wszyscy stolarze ze wsi szukali w nim trzynastu skrytek, i tylko dziesięć znaleźli. I to jest sztuka rzemiosła: zrobić coś takiego.

— Proboszcz Dziendziak to wielka postać, szczególnie zasłużona dla Rutek. Ocalił drogocenne dzwony przed hitlerowskim rabunkiem. Kosztowało go to wiele odwagi i pieniędzy. Kiedy po raz drugi Wehrmacht przyjechał do Rutek, by wysadzić kościół na wzgórzu, nazbyt widoczny ze wszystkich stron, on upoił wtedy żołnierzy, którzy kazali mu tańczyć na rynku, ku ich pijanej uciechce. Ale, zamiast w Rutkach, wysadzili kościół w Pniewie!

Mistrz Danowski poświęcił się swojej pracy bez reszty. W jego warszawskim mieszkaniu wisi mapa, na której starannie wykaligrafowano i zaznaczono miejsca, gdzie prowadził kursy i ile razy; są cehowe dyplomy uznania, zawodowe osiągnięcia. Bo wynalazł, na przykład, przyrząd do wymierzania zaszwerek na biust, przyrząd kontrolny figury, przyrząd kontrolny ramion i postawy figury, ramionomierz, suwak miar krawieckich, pomocnicze pasy, konfekcyjne korpusy wymiarowe, obrys figury. Wydał wiele, wiele skryptów; jego dewiza było: „Bona vestigo per ciuj virinoj” — dobre ubiory dla wszystkich kobiet. A przecież Polki z nich najładniejsze. Ale krawiectwo zginęło we wszystkich krajach. Tylko zmyślne maszyny wykonują ładnie ubiór... Komputeryzacja przemysłu. Jednak nie! Zostały przecież niejedne ręce, które z rzemiosła robią sztukę. Lecz tej sztuki nie osiągnie się podczas nauki w technikum, bo umieć, to — chcieć. Nie ma bez pracy.

Mistrz Danowski ma jeszcze jedną pasję: wylawia życiorysy ludzi, którzy bez wykształcenia osiągnęli wyżyny wiedzy: Leonardo da Vinci, Toscanini, Kolberg...

— Z dzwonnicy kościoła w Rutkach rozciąga się panorama okolicy. Zaczynają się już przeloty, zgromadzenia ptasie. To niechybny znak, że nad Rutkami zaczyna się jesień.

Fot. GABOR LÖR NCZY



IA TU RZĄDZĘ!

— Panska krytyka w „Kontaktach” o rozdziale maszyn w gminie to prawie nic — ocenił w listopadzie ubiegłego roku, w kilka tygodni po ukazaniu się w tygodniku reportażu „Klika u władzy”, przewodniczący GZKiOR-u, Jerzy Kulesza. — Zresztą, co będę dużo mówił. Sprawdzaj pan w dokumentach, pogadaj z ludźmi, choćby z takim Radgowskim z Dąbrowy. Ja już nawet chciałem zrezygnować z tego przewodniczącego, bo jak się zbiera czterdziestu ludzi, męczą się, coś wspólnie ustalają, a potem i tak jest inaczej, to nie ma się co ośmieszać.

Józef Radgowski gospodaruje na prawie dziesięciu hektarach. Pierwsze podanie o ciągnik złożył w 1977 roku. Odczekał trzy lata, i gdy niekiedy zaczął się podśmiewać, że nie potrafi załatwić z kim trzeba, poszedł do naczelnika.

— Jak powiedziałem, że i ja mogę dać te trzydzieści tysięcy za przydział: naczelnik odrzekł: „W tym roku nie już nie da się zrobić, ale na początku 1981 załatwię”.

W obiecany okresie dowiedział się jednak, że to nie takie proste, bo teraz jest jeszcze komisja; pomyślał, że skoro ma płacić i jeszcze prosić, dołoży i kupi fergusona.

— Stały akurat dwa w Zambrowie, pojechałem, załatwiłem uczciwie i od ręki.

Sasiad Radgowskiego, Zygmunt Kaczorowski, jak było trzeba, odstawiał do gęsu zboże; dodatkowo, bo w gminie powiedzieli, że będzie miał większe szanse. W końcu rzeczywiście dostał — „ruska”, jak nazywa radziecki ciągnik — na wolnym rynku.

— My nie takie ciemniaki — przekonują rolnicy — by nie rozumieć, że jak naczelnik maszyny nie ma, to jej nie stworzy. Ale dlaczego jeden dostaje ciągle, inny kolana może zedrzyć i tak dla niego nie będzie.

Gdy w gminie pojawiła się grupa operacyjna, rozgoryczeni chłopcy, traktujący żołnierzy jak ostatnią deskę ratunku, nie dali im minuty wytchnienia. Zaczęli po drodze, zaciągali na swoje podwórka, pisali oświadczenia. Nic więc dziwnego, że pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju, który natychmiast zajął się skargami, po miesiącu zanotował: „Dokumenty w Urzędzie Gminy potwierdzają częste przypadki zmian decyzji Komisji w zakresie przydziału sprzętu. Porównanie list wydanych rolnikom maszyn w Składnicy Maszyn Rolniczych w Zambrowie z dokumentacją gminy wskazuje fakt przydziału maszyn wielu rolnikom nie ujętym na listach przydziału. I tak w 1979 roku — 12 rolników, w 1980 — 5 rolników, w 1981 — 11 rolników. Z kontroli przydziału ciągników wynika, że 6 rolnikom przydzielono w ostatnich latach po dwa ciągniki”.

Gminna władza wie, że teraz skończyły się zarty. Zapamiętuje więc co bardziej gardlujących. I nadal prezentuje się jako silna. Antoni Janczewski z Łątownicy Parcele śmiało powiedział na zebraniu, że trzeba to kumoterstwo w Andrzejewie rozzerwać. Mówił o tym wojskowym. Poprosiła go więc któregoś dnia pani prezes Szware i oświadczyła: „Gdybyś nie pajacował, tobyś dostał ciągnik, a żeś pajacował, to nie dostałeś i nie dostaniesz”.

Prawie rok temu pisałem w „Kontaktach”: Swoją cenę ma pozwolenie na budowę, cement, pustaki, cegła. Inspektor Urzędu Gminy do spraw budownictwa nie gardzi także walutą znacznie stabilniejszą niż złotówka. Być może wyjaśnia to fakt, że jedni mają cement na betonowanie podwórka, inni nie doproszą się go nawet na budowę domu, obory. Grupa operacyjna jeszcze w listopadzie ubiegłego roku stwierdziła: „Brak właściwego nadzoru nad działalnością inspektora ds. budownictwa w UG spowodował wydanie ogromnej ilości zezwoleń (ok. 130) na budowę przy znikomym możliwościach zabezpieczenia w materiały budowlane. Stwarza to okazję do nadużyć w zakresie dystrybucji materiałów budowlanych, budzi rozgoryczenie wielu oczekujących. Przydziału materiału budowlanego nie uwzględnia najbardziej potrzebujących [...] podczas gdy inni [...] posiadają po dwa budynki mieszkalne”. W grudniu ubiegłego roku inny już szef grupy zauważył „nagminne pomijanie niektórych ludzi

przy rozdziale maszyn oraz materiałów budowlanych”, zaś w maju tego roku, w czasie kontroli w gęsie, trzeci z kolei pełnomocnik KOK-u odnotował, że „poprawiono listy na materiały budowlane, dopisując nowe nazwiska”.

Sam naczelnik ma na temat opinii ludzi w tej sprawie gotowy refren: — Jak mam pięćdziesiąt traktorów i tysiąc podań, to dzieńwięciuset pięćdziesięciu będzie na mnie kłęło. A zresztą nie dzielę sam.

Gdy pytam o te problemy prezesa gminnego ZSL-u, Zygmunta Zechowskiego, wyraża jedynie radość z powodu nieposiadania ziemi, bo nie musi niczego budować.

— Z tego, co do mnie dociera — dodaje — słyszę dużo rzeczy negatywnych. A jak jest teraz z przydziałami, nie orientuję się. Wprowadzi kiedyś naczelnik zaprosił mnie dwa razy na posiedzenie komisji, ale przestał, to nie chodzi.



KORDIAN I CHAM

W grudniu ubiegłego roku zatrzymała mnie przy Banku Spółdzielczym grupka rolników. „Powiedz no pan, jak to, do cholery, z tą sprzedażą wiązana. Byłim u naczelnika...”. Wygraliście — przerwałem — wojewoda o was dba. Zmienił zasady i teraz relacja jeden do pięciu jest przy zakupie tylko do osiemdziesięciu tysięcy. Powyżej liczy się już jeden do trzech, a powyżej dwustu tysięcy — jeden do dwóch. I tak jest tylko w naszym województwie!”

Nie bardzo chcieli uwierzyć; prosili, by wyjaśnić jeszcze raz. Jeden uciekł się, że wobec tego wystarczy mu na ciągnik. „Gówno będzie” — orzekł inny. „Jak to: gówno?” „Byłim u naczelnika, pytałim, kiedy te maszyny mogą być; powiedział: „Jak będą, to będą. Dostaniecie albo i nie dostaniecie”. Dlatego pytamy: muszą dać na tę wiązana, czy mogą. W telewizji mówią, że muszą, ale kto wie”.

W czasie rozmowy w Dąbrowie z rolnikami, których doszły słuchy, że na ich konto kto inny wziął traktory, pytałem, czy sprawdzali ten fakt. „A w jaki sposób?” — zdziwili się. „Przecież wystarczy poprosić w gminie o listę przydziałów”. „Listę? — zdumiewali się coraz bardziej — panu to może i pokażę, ale z nami nikt gadać nie będzie, a co dopiero papiery da oglądać!” „Toż to i inżynier, i magister — podkreśliła oba tytuły Zakrzewska — a starszą kobietę na stojąco trzymał. Byłim akurat u niego, to mówię: pani siada. A on nic, patrzy sobie dalej w okno”.

To nieliczenie się z człowiekiem boli niektórych bardziej niż pominięcie przy przydziale maszyn. „Rozumiem — napisał grupie operacyjnej Franciszek Smoliński z Ruskołek Starych — że brak materiałów budowlanych, lecz pragnę, aby w sposób ludzki mnie traktowano w urzędzie”. Nie wiem, jak go traktowano później; wiem, że jeszcze pod koniec czerwca, miał kłopoty z realizacją wniosku na siewnik w ramach sprzedaży wiązanej, która zdążyła przejść tymczasem do historii. „Panie, ja idę drogą, majora widzę, a to szarża, wiadomo; ja go na drodze zatrzymuję i on ze mną gada jak z równym — relacjonował inny rolnik — a tu, w swoim urzędzie, słowo trudno wydusić od kogo”.

Tenże major sprawę traktowania gospodarzy przez naczelnika umieścił w swych spostrzeżeniach na pierwszym miejscu: naczelnik jest „szorstki i odpychający w czasie przyjmowania interesantów, są

przykłady trzymania ludzi przed drzwiami bez powodu”. Natomiast jego następca stwierdził, iż „istnieje prawie w całej gminie niezadowolone rolników ze sposobu załatwiania wielu spraw przez naczelnika (arogancja i lekceważący stosunek do interesantów)”.

A ja dziwiłem się, gdy wychodząc któregoś dnia z pokoju naczelnika — zobaczyłem, jak 77-letni Jan Michalik, zmierzający tam właśnie w sprawie ulgi podatkowej, bo padły mu dwie świni, kornie trzymał w rękach czapkę. Przedwojenny nawyk — pomyślałem wtedy.

VIVA AJENTI!

GS w Andrzejewie posiada dwa bary kategorii czwartej — w Andrzejewie i Jasienicy. Oba, od paru lat, w ajencji. O tym, co dzieje się przy „lokalu gastronomicznym” w siedzibie gminy, pisałem dwukrotnie. W reportażu „Gminny remanent” („Kontakty 10/81): „dzięki

ny sprzedaż napojów alkoholowych została utrzymana”. Już wcześniej nie widząc skutecznej próby zajęcia się ich sprawą, napisały do NIK-u. Ten przekazał ją do UW — co stało się dalej, w dokumentach nie widać, choć że naczelnik zorganizował w Jasienicy zebranie. Jego przebieg opisała w „Chłopskiej Drodze” Iwona Jurczenko: „— A na zebraniu — mówią kobiety — było tak. Agent zawsze pewny siebie był: „jak kogo nie kupię, to upiję” — mówił. Najpierw to jak się dowiedział, że ma być zebranie, to zwołał swoich chłopów, powiedział co i jak, postawił wódkę i obiecał, że będzie drugie tyle, jeśli na zebraniu będzie jak trzeba”.

Przyjechał naczelnik, stanął na środku, ręce w kieszenie włożył i tak mówi: — Zebraliśmy się, panowie, bo tu jakieś plotki na Ajenta są — wyjął tę skargę i czyta — no, nie będziemy tu eksperta ściągac, ale przynajmniej 12 podpisów jedną ręką jest. A jeszcze zastanowić się trzeba, czy dzieci podpisywane nie są i odczytał te podpisy [...]. I wtedy Borkowa nie wytrzymała.

— Panie naczelniku, to nie kłamstwo jest, pan o tym dobrze wie, bo i pan u Ajenta pił nie raz. Pan u nas uważania nie ma. Jak pan wtedy w lipcu pijany na płocie wisiał, to ja chciałem farby wziąć i uszy panu umalować na zielono, ale mi nie dali”. Fragment, z którego pochodzi ten cytat, autorka zatytułowała „Zebranie w obronie alkoholizmu”.

Naczelnik Koc, któremu przypominam ten tekst, odpowiada: — A była tu jakaś dziennikarka, szumu narobiła, no i co z tego?

Twierdzi, że żadnej decyzji o sprzedaży alkoholu nie podejmował. Gdy cytuję pismo WZSR-u do jasienickich kobiet, w którym stoi, iż „zgodnie z decyzją Naczelnika”, mówi, że sobie nie przypomina. — Poza tym skargi na bar do mnie nie przychodziły, ja dostawałem tylko do wiadomości.

Ujawniając wówczas, że znam całą dokumentację w tej sprawie z akt złożonych w Sądzie Rejonowym w Ostrowi Mazowieckiej. On — w rewanżu — przypomina sobie, że chyba raz dostał skargę bezpośrednią.

— Jak badał pan jej zasadność? — Ja tego nie rozpatrywałem. Oparłem się na wyjaśnieniach Zarządu GS-u.

barowi zginęło trzech ludzi; jeden zamarł pod barem, dwóch — po głębszej wóдке — utopiło się w drodze do domu”. Z „Kliki u władzy” przypomnę tylko wypowiedź kaprała Krzysztofa Papieża z miejscowego posterunku MO: „Jest nas trzech. Nie musielibyśmy robić nic, tylko pilnować pijaków przy barze. Na okrągło. Dziś ten — wskazuje leżącego (młody chłopak po głębszym spadł właśnie ze schodów barowych i, nieprzytomny, oczekiwał na pogotowie — przyp. W.T.) — a w ubiegłą niedzielę rozbil się w Grzymkach «zaopatrzony» w barze fiat. Dwa tygodnie temu najpierw bójka, potem potrącenie przez warszawę”.

Barom w Jasienicy się wtedy nie zainteresowałem. Aż tu w marcu wybuchła bomba na całą Polskę: inspekcja przeprowadzona w Jasienicy — znowu wojsko i prokuratura — zastała bar zamknięty „z powodu braku towaru”, ale i 1361 butelkami wódki, 135 wina, 2760 tysiącami w gotówce w domu ajenta. Pomijam tu sensacyjno-karny motyw wydarzenia, skupiając się na jego źródle i mechanizmie przyzwalającym jego zaistnienie.

Pierwszą skargę na bar wysłały mieszkanki Jasienicy 26 czerwca 1981 roku do wojewody; drugą — 23 lipca — podpisaną już przez 63 kobiety i 2 mężczyzn oraz obłożoną pieczęcią koła ZSMP, do naczelnika Koca, GS-u w Andrzejewie, UW i WZSR w Łomży. Wydział Handlu i Usług UW skierował więc do naczelnika pismo z prośbą „o unikliwe zbadanie sprawy”. Naczelnik „zbadł” i — odsłaniając metodą badawczą — odpowiedział Wydziałowi: „informuję, że została przeprowadzona indywidualna rozmowa z ob. Ajentem przy udziale Prezesa GS «Sch», który stwierdził, że poszczególne zarzuty nie są słuszne, a raczej pisane przez złośliwość ludzką”. W zakończeniu zaś dodał, że „sprawa sprzedaży napojów alkoholowych była podejmowana na sesji XIII GRN, a radni wnioskowali za sprzedażą alkoholu w placówkach gastronomicznych”.

„Nawiązując do ustaleń — pisał natomiast WZSR — [...] dotyczących likwidacji baru «A», wnosimy o wstrzymanie sprzedaży napojów alkoholowych powyżej 10 procent.” W uzasadnieniu WZSR napisał o naruszeniu elementarnych przepisów w obrocie napojami alkoholowymi przez ajenta. Naczelnik nie przyjął jednak do wiadomości ani wspólnych ustaleń, ani wniosku; WZSR zmuszony był w końcu poinformować kobiety w Jasienicy, że „zgodnie z decyzją Naczelnika Gmi-





Sześć tygodni przeleżał w Zakładzie Usługowym WPHW w Łomży oddany do naprawy robot. Kiedy niecierpliwy klient dotarł z nim do kierownika Działu Usług, usłyszał, że pieniądze za bubeł zwrócą, ale musi jeszcze odleżeć przepisowe czternaście dni. Widzimy w tym nową jakość, brzemienne w skutki nie tylko w usługach — wszak kiedyś pieniądze za leżenie brać mogli tylko kierownicy.

Jeden z nowych lokatorów Górki Zawadzkiej hoduje na balkonie króliki. Jeżeli zafunduje sobie konia, sens straci dowcip o zdziwieniu babci: „Jak on go tam wprowadził? — na wieść, że wnuczek bije to zwierzę w łazience.

W przychodni osiedlowej przy Żeromskiego 2 w Łomży na drzwiach gabinetu stomatologicznego pacjenci zastali napis: „W dniu dzisiejszym przyjmuję tylko z bólem zęba z powodu nie posprzątania gabinetu” (podkr. red.). Oczekujący na borowanie uniżenie przeprasza, zapewniając, iż nigdy się to nie powtórzy, i nie tylko mogą posprzątać, ale samochodzik umyją, dywanik w domku podtrzepią, działeczkę dokładnie skopią. No, Pani Doktor, niech się już Pani nie gniewa.

Dzięki zetemesowskiej wizji budowy domków jednorodzinnych Wysokie Mazowieckie mogło być przykładem, jak radzić sobie z tzw. mieszkaniowym głodem. Nic więc dziwnego, że na listę chętnych błyskawicznie wpisano się około stu osób. Gdy okazało się, że dzięki reformie betonowa klatka z kiepskiej płyty z Mikołajek kosztować ma cztery i pół miliona — lista upadła. Nie pomogły wyjaśnienia: chodzi tylko o złote polskie, a po następnej reformie domek może kosztować milionów czterdzieści i cztery.

Mimo kryzysu — rozwija się miasto Łomża. Jednym z tego przejawów są nowe inwestycje, m.in. przy ulicy Nowej: nowe doły, nowiutkie wykroty, nowo korodujące, porożrucane rury. Będą nowe złamania kończyn, wciąż na nowo rozwalane głowy bawiące się tam dzieciami. Ach, ten pęd za nowościami!

Napój „Florida” najlepszy na każdą pogodę: pragnienie ugasi i głód zaspokoi. Ostatnio na dziesięć kupionych w „blaszaku” na Południu — w trzech butelkach znajdowały się muchy o urozmaiconej wielkości i stopniu rozkładu. Podajemy (muchom) adres producenta: Zenon Sergiejewicz, ul. Nowogrodzka. Bon chance!

Rolnicy w Piekutach Nowych nie myślą jeszcze o żniwach. Mają wprawdzie 180 prywatnych snopowiązałek, ale zaledwie 25 procent ilości potrzebnego sznurka. Zanim GS dotarła kolejne motki — zboże podrośnie na tyle, aby słomą można było wiązać solidne snopy. Grunt to zdrowa chłopska kalkulacja!

Wiceprokurator wojewódzki w Ostrołęce, Wojciech Pilecki, na pytanie, jak mogło dojść do takich wynaturzeń, powiedział mi: — Cała dokumentacja barowa to właściwie śmietnik. GS powinien nad nią czuwać. Niestety.

W zeznaniach świadków w sprawie ajenta jest rzecz wstrząsająca: „Był taki przypadek, że dzieci szkolne przyniosły alkohol na wieczorek do szkoły. W drodze wywiadu dowiedzieliśmy się, że alkohol posiadali z baru w Jasienicy”.

Dla mnie, przeglądającego w Sądzie owe „świadczenia prawdy i tylko prawdy”, wstrząsające było to, że te same kobiety, które walczyły wcześniej z wódką i odsłaniały wiele faktów w trakcie dochodzenia, w obliczu sędziowskiej togi zaczęły odwoływać swe zeznania, zmieniać je, kluczyć. Cóż, doktor Nosorzewski z jasieniickiego ośrodka pamięta, jak robił obdukcję podoficerowi wojska, pobitemu przeszło rok temu koło baru. Gość wcześniej zwrócił uwagę, że rachunek coś za wysoki. Leczył potem złamany nos. Mnie wprawdzie trudno doszukać się związku między rachunkiem a złamanym nosem, tu ludziom jednak dziwnie się te fakty kojarzą.

Naczelnik Koc pyta mnie jeszcze, dlaczego w całej Polsce buduje się restauracje, a on miałby u siebie zamykać. I on, i pani Szwarc uważają, że alkohol w wiejskim barze to najlepszy sposób na meliny i bimbronictwo. Więc bar w Jasienicy pod wodzą nowego ajenta zaprasza na głębszego. Może uda mu się pobić okrągłą sumkę obrotów — dziesięć milionów złotych z kawałkiem — jaką w grudniu osiągnął jego poprzednik?

POSTULOWAĆ POSTULATY

Latem ubiegłego roku Andrzejewo żyło wyjazdem z gminy ówczesnego sekretarza KG PZPR. Dla przypomnienia: zajmował mieszkanie w ośrodku zdrowia, a po wsi poszła wieść, iż gdyby je opuścił, natychmiast przyszedłby lekarz. Zaczęły się więc niewybredne telefonny i hece. Bardziej wtajemniczeni uważali wtedy, że to robota mejsceowej kliki, dla której nie był wygodny, bo nie pił, był uczciwy, traktował ludzi jak należy, a oni go szanowali. Sekretarz mieszkanie opuścił. Mija właśnie rok od tamtej chwili.

— Nie ma sekretarza ani lekarza — wspomina Zakrzewska. — Niepozorny cały ten Kaczanowicz, a pojawiał się wszędzie, gdzie trzeba było pomóc. Zakopał się w polu kombajn, latał, załatwiał traktory, deta.

Zygmunt Zochowski, który przed rokiem stawał na Sesji GRN-u wniosek o konieczności zwolnienia mieszkania dla lekarza, gdyż jest przewodniczącym Komisji Oświaty i Zdrowia Rady, mówi, że nie zapomniał o tym, gdy było już puste.

— ZOZ w Zambrowie chyba omija tę sprawę — zastanawia się chwilę — ale i w gminie nie ma komu się za nią wziąć, a i naczelnik nie za bardzo o to dbał.

Odpowiada bardzo ostrożnie, nie chciałby nikogo dotknąć, ale w końcu przyznaje, że nie ma tu komu wielu problemów rozwiązać.

Naczelnik Koc od razu stawia sprawę jasno: — Ja lekarza nikomu nie obiecywałem. O ile się orientuję, od sierpnia przyjdzie do nas lekaarskie małżeństwo. Doktor Krzepicki kiedyś wspominał, będzie wiedział na pewno.

Doktor Krzepicki potwierdza słowa naczelnika; rzeczywiście od września lub października zamieszka w opuszczonym mieszkaniu małżeństwo stomatologów.

— Czy w gminie mówiono na ten temat? Tak, na sesji, by kogoś ściągnąć. Ale że sprawa zostanie wreszcie załatwiona, to głównie zasługa dyrektora Mackiewicz z zambrowskiego ZOZ-u.

REWERS

„Gminne żale” nie pozostawały zupełnie bez echa. W styczniu przemknęła przez Andrzejewo Wojewódzka Komisja Kontroli Partijnej. Zajęła się głównie sprawą przydziału maszyn rolniczych w roku 1981. W pokontrolnych wnioskach sporządzonych dla wojewody, przedstawiciel Komisji napisał: „Sprzęt rolniczy rozdzielany był w roku 1981 zgodnie z generalnie obowiązującymi przepisami w tej sprawie oraz pismem Wicewojewody Łomżyńskiego z dnia 28 maja 1981 roku. [...] Z dokonanej kontroli oraz uzyskanej opinii środowiskowej w powyższej sprawie stwierdza się prawidłowość wydawania decyzji

przez Naczelnika Gminy, które poprzedzono uzyskaniem szerokiej opinii od aktywu samorządowego, a w szczególności Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, członków Komisji Rolnej Gminnej Rady Narodowej oraz sołtysów ze wsi zainteresowanych”.

Po wniosku pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju o odwołanie naczelnika Koca z zajmowanego stanowiska w Andrzejewie pojawili się także inspektorzy Wydziału Kontroli i Instruktażu UW w Łomży. Sprawozdania z kontroli nie przytaczam, gdyż da się streścić jednym zdaniem: zarzuty, w opinii badających, nie potwierdziły się. Przytoczę jedynie przykład: zarzut brzmiał, iż pracownicy służby rolnej siedzieli w biurze, czytali książki, i nie dali się poznać — nawet z widzenia — większości rolników; jednocześnie wysłała się w teren nauczycieli, by aktywizowali skup zboża. Inspektorzy WKil UW ustalili, że pracownicy służby rolnej tego dnia wrócili właśnie z zebrania i — mając pół godziny do zakończenia pracy — dyskutowali na temat aktywizacji skupu ziarna. Naczelnik natomiast potrafił zaktywizować do akcji nawet nauczycielki.

Każdą rzecz oglądać można ponoć nie tylko z dwóch stron. Trudno mi jednak nie cenić wyżej tej, z której patrzyli żołnierze terenowej grupy operacyjnej w ciągu tylu miesięcy: przez setki rozmów, żmudnego sprawdzania każdego sygnału od ludzi, przekopywania się przez dokumenty, nieustanny kontakt z mieszkańcami i władzami gminy. Sam zresztą, po otrzymaniu w październiku ubiegłego roku pisma Prezydium GRN w Andrzejewie, oburzonego treścią „Kliki u władzy”, postanowiłem nie podejmować gorącej polemiki, lecz raz jeszcze przyjrzeć się andrzejewskiej rzeczywistości. To „raz” rozrosło się do kilkakrotnych wyjazdów w listopadzie i grudniu ubiegłego roku oraz w lipcu obecnego; do dziesiątków rozmów, tyłuż stron notatek, jeszcze większej ilości przestudiowanych dokumentów. Przyszłam, że szczególnie w ostatnim okresie moich wizyt w Andrzejewie sporo ludzi wątpiło w sens tego, co robię.

— Było tu wojsko i co? — podpierali swą niewiarę.

— Było. I nie mogło nas tak zostawić bez niczego — słyszałem zaraz. — Bo chyba nie dla przyjemności wysłuchiwali nas całymi godzinami, łazili po polach, podwórkach. To musiało gdzieś utknąć!

Na razie, dzięki wojsku, Dąbrowa ma swój sklep, którego od trzech lat nie miał kto uruchomić, choć rolnicy budowali go w czynię i dawali pieniądze na końcowe roboty, w Andrzejewie ruszyła robota na ulicy Warszawskiej, wiejski klub miał opał na zimę, a wielu ludzi uwierzyło, że jest jeszcze sprawiedliwość. Być może coś zmieni się po majowej inspekcji w geesie, bo znowu stwierdzono wiele nieprawidłowości.

Naczelnik Koc — przypomina wyniki ostatniego przeglądu kadr administracyjnych w województwie dyrektor Biura Organizacyjno-Prawnego i Kadr UW, Mieczysław Jagielak — został oceniony bardzo wysoko. Oczywiście, z opinia środowiska należy się liczyć, więc WKKP w generalnym wniosku postulowała, by, ze względu na atmosferę wokół osoby naczelnika, przenieść go na inny teren. Ale trzeba doceniać także jego fachowość i zdolności organizatorskie.

Przypomniała mi się wtedy wypowiedź etyka, doktora Zbigniewa Szawarskiego, jakiej udzielił „Kontaktom” w ubiegłym roku: „W przypadku każdej osoby pełniącej jakąkolwiek odpowiedzialną funkcję publiczną można wyodrębnić przynajmniej trzy podstawowe wartości, których nieprzestrzeganie grozi konfliktem ze społeczeństwem. Będą to więc wartości wyznaczające sferę kompetencji. Inne — to wartości związane z poczuciem obywatelskim. Jako trzecie należy wyrazić wartości moralne. Ogólnie, każda osoba piastująca jakikolwiek urząd powinna być niewątpliwie świetnym fachowcem, dobrym obywatelem, ale przede wszystkim ma to być dobry człowiek. A więc jednostka będąca osobą publiczną winna wyróżniać się szczególnymi walorami moralnymi [...] gdyż pełni funkcję wzorotwórczą”. Może by takie kryteria doboru kadry zastosować także w Andrzejewie?

WŁADYSŁAW TOCKI

Fot. Autor i GABOR LÖRINCZY

moja firma dorszowa

Postanowiłem stać się człowiekiem godnym epoki i zacząć robić pieniądze w sposób szybki i legalny. Otwieram firmę dorszową „Poldorsz” lub pokrewną.

Pomysł taki narodził się przy śniadaniu, kiedy za rybi ogon zapłaciłem sześćdziesiąt złotych. Inny może by się zdenerwował, ale nie ja. Nie spoglądam na problem nowych cen okiem indywidualnego malkontenta, lecz panoramicznie, chociaż z uwzględnieniem prywatnego interesu. Handel rybą ma wiele zalet, a najważniejszą z nich jest dostarczanie społeczeństwu łatwo przyswajalnego białka.

Na początek zainwestuję tysiąc złotych, które otrzymałem od rządu jako rekompensatę. Kupię zań piętnaście kilogramów dorsza bez głów po pięćdziesiąt złotych za kilogram. Cebulę wezmę z przezornych zapasów, a olej i koncentrat pomidorowy dostanę w kościele (muszę tylko ubrać się w zgrzebne szaty i przybrać obolałą minę). Siłę roboczą mam za darmo, ponieważ wolno mi wyzyskiwać samego siebie. Z tego surowca upichcę dwadzieścia kilogramów dorsza w sosie greckim.

Produkt sprzedam społeczeństwu i policzę pieniądze: 20 razy 220 (dorsz po grecku kosztuje legalnie 240 złotych za kilogram, ale firma „Poldorsz” w ramach konkurencji, produkuje lepiej i taniej) da mi 4400. Tysiąc złotych zwrócę rządowi, ponieważ — jako prywatnej inicjatywy — wypada mi samofinansować się, a za pozostałe pieniądze kupię znowu dorsza, cebuli i tomatu. Do kościoła jako żebrak tym razem nie pójde, wręcz przeciwnie: z gestem rzucę na tacę stówę.

Policzę dochody drugiego dnia



Chodorowski

prosperowania mojej dorszowej firmy. Pierwszy tysiąc pomnożył się przez 4,4, wobec tego 3300 (4400 minus 1000 zwrócony rządowi, minus 100 złotych na tace), mnożone według tego przelicznika, da mi 14 520 złotych. Pięćset dwadzieścia złotych odłożę na stronę, za cztery tysiące kupię zboża i pożyczę państwu, w interes zainwestuję pozostałą dychę.

Trzeciego dnia zarobię 44 000. Cztery przeznaczę z góry na fundusz socjalny dla załogi mego przedsiębiorstwa, czyli jednoosobowo przepiję.

Czwartego dnia — na kacu — nie będzie chciało mi się pracować. Usiądę więc w oknie i pomyślę: po

trzech dniach pracy mam 40 000, a więc gotówki do końca miesiąca wystarczy. Przez krótki okres prosperowania „Poldorsza” przedsiębiorstwo uzyskało właściwą sobie rangę, jest cenione przez państwo, społeczeństwo i Kościół, do czego przyczyniły się kolejne akcje: zwrot rekompensaty, pożyczka zbożowa, stowa na tace, akcja socjalna. Wobec takich faktów ze spokojem zawieszę swoją działalność do pierwszego.

Dlaczego nie zechcę dalej rozwijać interesu, skoro tak dobrze wystartowałem? Wynika to z mojej lojalności wobec pryncypiów Rzeczy, oczywiście, że mnożąc swoje docho-

dy mógłbym w niedługim czasie założyć własną plantację cebuli, uruchomić przetwórnictwo pomidorów, kupić kuter rybacki, ale wszedłbym wówczas na ową zdradliwą, pochyłą ścieżkę w stronę kapitalizmu i pokazano by mnie w programie telewizyjnym „Who is who?” Społeczeństwu też dorsz mógłby się przejeść, zaś urzędnik z wydziału finansowego poszpera w rachunkach...

A kiedy występuję w odpowiednim momencie, pozostanę z czystym klasowo sumieniem, przyjdzie do mnie ekipa z „Dziennika Telewizyjnego”, redaktor Zuber, Tumanowicz albo Chybowski, odznakę „Zasłużony” mi dadzą, ekspertem zostanę.

KAZIMIERZ SIEMIENIAKO

NA PIĘCIOLINII



refleksje



o piosenkopisarstwie

Nie wszyscy może wiedzą, że pisanie piosenek, to jest wielki interes. Oczywiście, tylko takich piosenek, które stają się przebojami, bo autorom leżą tantiemy za częstotliwość pojawiania się ich utworów na antenie radiowej i telewizyjnej, najbardziej zaś — w lokalach gastronomicznych. Wszechobecny ZAiKS, instytucja zajmująca się ochroną praw autorskich, sięga i tutaj. Jeśli więc wylansowało się coś takiego, jak chociażby „Kolorowe jarmarki”, można już spokojnie myśleć o najbliższych miesiącach czy nawet latach, bo byt i dobrobyt (ewentualnie) ma się zapewniony. Piosenkopisarstwo jest interesem, chociaż przeciętny słuchacz myśli, że tym interesem jest piosenkarstwo. Oczywiście, myli się, bo piosenkarz tantiemów nie dostaje, tylko musi tyrać po trasie, zaś autor w tym momencie spokojnie spożywa obiad w lokalnej filii restauracji SPATIF-u.

Ponieważ piosenkopisarstwo jest — jako się rzekło — interesem, wokół niego pojawiają się różne zjawiska, różni ludzie owe zjawiska wywołujące i, oczywiście, cała chmara (ławica) plotek, które chcą urosnąć, jeśli już nie do rozmiarów rekina, to chociażby szczupaka. Przysłuchiwałem się kiedyś rozmowom między zespołem młodzieżowym (znanym!) a menagerem mającym wpływ w firmie fonograficznej „Polskie Nagrania”. Chodziło o wydanie płyty długogrającej. Muzyka była gotowa, teksty również, nawet nagrania — szło tylko o przekopiowanie na matryce. Menager wprost — bez owijania w bawełnę — stwierdził: „Dajcie, chłopaki, na płytę jeden mój tekst do dowolnej piosenki i long play uzyskuje akceptację”. Tak się też stało, mimo że ów wiersz w oczywisty, horrendalny sposób odstawał od koncepcji suity napisanej przez zdolnego poetę.

Piosenkopisarstwo ma to do siebie, że można je uprawiać, ale szanse na przedłużenie czasu jego trwania są w zasadzie żadne. Publiczność — dziwnym trafem lubi dwa, trzy przeboje w sezonie, a tylko taka ranga piosenki potrafi zapewnić

godziwy zarobek. Dlatego w tym zawodzie trwa walka na wszelkie sposoby, i od umiejętności dyplomatycznych — a nie artystycznych — zależy, czy będzie się miało szansę napisać kolejną piosenkę dla Rodowicz, Sipińskiej, „Skaldów” lub Trojanowskiej, bo są to w zasadzie „konie” pewne, lubią ich redaktorzy audycji muzycznych i z piosenki potrafią, szybko zrobić przebój. Chwyty są najprzeróżniejsze. Nie tak dawno „modny” aktualnie tekściarz, Wojciech Jagielski, powiedział w wywiadzie („Non-Stop”), że, według niego, pisanie tekstów jest ze wszystkich literackich fachów zajęciem najbardziej nastawionym na autentyczną sprawność językową (sic!). Cały wywiad natomiast polegał na opowiadaniu przez Jagielskiego, jacy to fatalni są w naszym kraju autorzy piosenek.

Piszą różni ludzie: lepsi i gorsi,

zburzony dom

Właściciel sąsiedniego budynku naprawiał dach i oczyszczał rynny. Po zdjęciu dachówek na ziemię zaczęły sypać się ptasie gniazda, niektóre jeszcze z nieopierzonymi pisklętami. Wokół budynku urosł wieniec z piór i suchej trawy.

— Dlaczego robi pan ten pogrom? — krzyknąłem ze swego okna.
— Obsrywały mi szyby i parapety! — odkrzyknął.

Zapadł zmierzch, gdy do gniazd zaczęły powracać ptaki. Zrozpaczone, w obłąkanym korowodzie krążyły wokół dachu. Coraz szybciej i szybciej, tak jakby chciały zatracić się w tym szalonym wirowaniu. W dziobach trzymały pędraki dla piskląt. Była to pora karmienia małych. Ostre piski cięły powietrze. Słychać w nich było przerażenie i ból.

Jaskółki, bo były to właśnie te ptaki, jak nagle się pojawiły, by odbyć żałobny taniec, tak znikły.

Rano obudziła mnie ptasia wrzawa.

mniej lub bardziej zdolni, bardziej lub mniej wplątani w układy. Na górze natomiast jest Góra, która baczny, by nikt niepowołany nie dostał się do interesu. W tym celu przy studiach nagraniowych i w wytwórniach płytowych są powołane komisje, które zatwierdzają, teoretycznie, bo najczęściej decyduje jedna osoba), nadesłane teksty i muzykę. Polega to czasem na wyrzuceniu tekstu (lub melodii) pod pozorem kiczowatości oraz zastąpieniu niezbędnego własną twórczością. Nie jest to, oczywiście, uogólnienie, bo przecież w ucho wpadają czasem utwory zgrabne, ale powstaje pytanie: dlaczego z tak wielu gniotów na siłę robi się przeboje, mimo iż publika wcale nie ma zamiaru nucić ich pod śledzika. Myślę, że nie jest to już w tej chwili pytanie retoryczne.

JAN JANUSZK

W oknie mignął ptak niosący żdźbło suchej trawy. Jakie było moje zdziwienie, gdy ujrzałem na dachu istną orgię jaskółczego budowania. Jakby wczoraj nie przeżyły żadnego nieszczęścia. Jaskółki furkotały tam i z powrotem, tam i z powrotem. Ileż w tym było radości i triumfu!

Triumfu budowania nad niszczycielami.

Człowiek, którego historia jest wiecznym budowaniem i burzeniem, dopiero co pobudowanego, nie jest zdolny tak mechanicznie podawać się po doznanej krzywdzie do usuwania jej skutków. Są ludzie, których klęska poraża na zawsze; dlatego że — prócz instynktu — człowiek posiada świadomość i pamięć przeszłego. Człowiek, by móc odbudować swój zburzony dom, musi w pierwszej kolejności odbudować swoją psychikę, znaleźć w nowym wznoszeniu sens; uwierzyć, że to budowanie nie będzie miało za kamień węgielny kolejną ruinę, kolejną klęskę.

Ptaki będą podejmowały swe dzieło naprawy szkód bez końca, póki nie opadną z sił — nakazem instynktu. Człowiek — nie.

ADAM JERZY SOCHA

Nazajutrz Stefan zaręczył się z Zofią. Rozczulająca ta scena odbyła się przed południem w jednej z altanek ogródka, do której Zofia, pomimo pilnej roboty, zdołała wyknąć się niepostrzeżenie. Sojusz miłości zawarty został uroczysto. Z obu stron nie brakło przysięg i wynurzeń. Zofia, ośmielona aprobatą matki, wyparła z serduszką wszelkie podejrzenia i pesymizm, a na widok pierścienia o mało nie zemdląca z rozkoszy. Długi, przeciągły i namiętny pocałunek przyręczał akt porozumienia się dwojga kochanków.

W kilka godzin niespełna całe miasto zajęte było tym najświeższym skandalikiem. Zosia, nieodrodną siostrzyczką wszystkich swoich współrodaków, w największej tajemnicy pokazała pierścienek Stasi, swej przyjaciółce. Stasia tajemnicę zdradziła, również w sekrecie, przed Basią, Basia przed Ignasiem, Ignasi przed panią Bigocką, a już od tej ostatniej dowiedziało się całe miasto. Nie dość tego, Stasia „wygadała się” przed matką Stefana. Był to tylko objaw wdzięczności wcale niefortunnej.

Matka Stefana była niezaprzeczalnie kobietą dobrą i złą. Ale jako matka rada była nieba przychylić swemu jedynakowi, zaś jako osoba z pozycją, jako małżonka miasteczkowego dygnitarza, nie mogła nigdy przystać na związek syna z „jakąś tam” szwaczką. Toteż oburzenie jej i przestroch nie miały granic, zwłaszcza że już od dość dawna przeznaczała synkowi za żonę Lolę, córkę pp. radcostwa, u których tego właśnie wieczoru miała się odbyć zabawa tańcząca.

Trudno sobie wyobrazić, co się działo w sercu zanej obywatelki. Długo nie mogła przyjść do siebie, aż wreszcie zdecydowała się bądź co bądź zżemu zapobiec i w tym celu pobięła do... pani radczyni.

Ta ostatnia należała do rzędu niewiast bardzo ambitnych. Wieczorek jej miał cel z góry wytknięty. Przede wszystkim szło jej o to, ażeby wypromować męża swego, a pana radcę dobrodzieja, na naczelnika ochotniczej straży ogniowej, po wtóre, ażeby pokazać całej śmietance towarzystwa swą nową suknię, przerabianą, jak wiemy, w pracowni Zosi, ale mimo to mogącą uchodzić za strój sprowadzony z najpierwszego magazynu z Warszawy, i wreszcie, ażeby córeczce swojej Loli, sporemu już podlotkowi dać możność wyboru męża z liczby kilku młodych ludzi, którym w przekonaniu zarówno matki, jak córki, przodował Stefan, młodzieniec z dobrej rodziny, przystojny i bardzo posażny.

Zacne matrony, dyplomatycznie manewrując około mężów, służących, strojów itp., zaledwie po godzinie rozmowy dotknęły jądra kwestii, to jest megalomanii Stefana.

— Vous savez, doprawdy trudno dać wiarę — rzekła pani radczyni — mówiła mi Bigocka, że syn pani zeni się...

— Ach, cóż znowu! — odparła z oburzeniem matka Stefana.

— Mais vraiment! Podobno już się zaręczył.

— Quelle idée! Jakkolwiek, jeśli to już nie jest tajemnica, a więc przyznam się, że i mnie już o tym mówiono. Doprawdy, z temi dziećmi c'est un malheur.

— I pani nie myślisz temu zapobiec? — niespokojnie zapytała radczyni.

— Ależ bezwarunkowo. Właśnie, j'arrive chez vous, radz pani, co począć.

Wejście Loli przerwało rozmowę matek.

— Ach, gu'elle est jolie, la petite! Lolu, jak się masz! — matka Stefana serdecznie pocałowała przybyłą. — No, siadajże, jak ty dziś świetnie wyglądasz. Jakie rumieńce!

— Byłam w ogrodzie. Mogę pani ofiarować tę różę... Pozwoli pani, że sama ją przypnę — odparła Lola. — A ta róża dla mamy — dodała, zwracając się do radczyni.

— Śliczna dziewczina — rzekła matka Stefana, czule patrząc na nią. — Ach, Boże, że też ja nie mam córki.

Promienie oczu matek skrzyżowały się z sobą. Lola podeszła do fortienianu.

— Soyez tranquille, uspokój się pani — odezwała się radczyni. — Podług mnie, postępek pana Stefana jest tylko niedyskrecją młodości, trzeba by go rozerwać. Lepsze towarzystwo, panny, vous me comprenez.

— A zwłaszcza Lola. — Tss! — pani domu położyła na usta upięsconkowany paluszek i obejrzała się w stronę córki. — Lolu, poproszę panią na herbatkę, wszakże to dla ciebie wydajemy wieczorek.

— Ja już raz prosłam panią — odparła Lola. — Niechże pani nie odmówi. A i pan Stefan...

— O przyjdzie, przyjdzie, przyleci na skrzydłach, moja ty, ty córeczko...

Wyraz „córeczko” znikł w długim pocałunku, jakim matka Stefana obdarzyła pannę radczankę.

Łomżyńska 2

Szkic z natury przez Bolesława Londyńskiego (1835 r.).



W pół godziny potem szanowna obywatelka znalazła się we własnym mieszkaniu. Uspokojona była zupełnie. Radcostwo przyjęło postępek Stefana obojętnie. Lola widocznie mu sprzyjała, ta Lola, panna mająca dziesięć tysięcy rubli posagu i herb szlachecki, i wykształcenie język gre na fortienianie. Ale Stefan! Otóż i on.

W istocie, do sypialni matki wszedł nasz młody znajomy. Wzruszenie malowało się na jego twarzy. Postanowił wyznać matce swoją miłość. Z chwilą jednak, gdy znalazł się przed nią, odwaga go opuściła. Nie wiedział, jak zacząć. Sam się przeraził własnym megalizmem. Matka wyprowadziła go z kłopotu.

— Słyszałam, że jesteś zaręczony — Ja, mateczko?

— Tak, ty! Całe miasto o tem mówi. Sądziłam, że będziesz miał do mnie więcej zaufania.

— O mamusieczko, ja chciałem ja właśnie...

— Przyszedłeś mi się zwierzyć? Za późno, wiem wszystko.

— Czy rodzice mają coś przeciwko temu? — zapytał Stefan, odzyskując zimną krew i pewność siebie.

— My? A broń Boże! Żeń się, żeń My z twoją żoną żyć nie będziemy. Widać musiała ci się podobać.

— Jak to, Mateczko? Własnym uszom nie wierzę! Więc mama pochwała mój wybór?

— Czy go pochwalam? Ha! Que faire! Zostawmy to zresztą czasowi. Otrzymałeś zaproszenie do radcostwa?

— Otrzymałem, ale nie póde...

— A to dlaczego?

— Dla bardzo prostej przyczyny...

Nie mam pieniędzy na rękawiczki, krawat itp.

— A chcesz się żenić?

— No, wtedy, jak się już ożenię...

— To co? To my ci dopomożemy! Mylisz się, moje dziecko, my ci ani grosza nie damy.

— Ha, to inne znajdę źródło!

— Jak uważasz. Ja umyłam ręce od wszystkiego. W każdym razie chciałyby, żebyś był na balu. Młodzieży będzie niewiele. Zresztą nie wypada odmawiać takim ludziom, jak radcostwo. Obraża się na ciebie, a potem na nas. A protekcja radcy przecież coś znaczy, zwłaszcza dla ciebie, jeśli się chcesz żenić.

— Ja to wiem doskonale. Poszedłbym, mówię mamie, ale cóż...

— No to ja ci kilka rubli pożyczę do pierwszego. Tylko pamiętaj

humor radczyni poprawił się znacznie. Wszakże zostały jeszcze dwa triumfy — suknia i Lola, a zwłaszcza ta ostatnia wobec intrygi bezwiednie zrażonej przez zaręczynę Stefana. Toteż szanowna obywatelka przez cały ciąg przygotowań do balu, odbywanych wspólnie z córką, cuda prawiła jej o Stefanie, zalecając jej szczególniejszą dlań uprzejmość i nieodmawianie tancerzom. Lola chętnie przystała na wszystko, pochlebiali bowiem szesnastoletniej dziewczynce grać rolę panny na wydaniu; przystała tem chętniej, że Stefan, jak mówiliśmy, był chłopcem ładnym, a przytem umiał nadzwyczaj zręcznie trzpiotać się z pannami i tańczył bodaj czy nie najlepiej z całej łomżyńskiej młodzieży.

Zgodnie z przepisami granamundu bal rozpoczął się zaledwie o dziesiątej, ku ogromnemu zniecierpliwieniu całej służby i osób podglądających przez okna puste, choć rzęście oświetlone salony pp. radcostwa. W ich liczbie była także i Zosia, przed południem zaręczona ze Stefanem, który, niegodziwiec, nie przybył do niej nawet powiedzieć, że będzie na balu.

Stefan zaś nie przybył z przyczyn od niego niezależnych. Pieniądz w jego rękę był narzędziem arcyniebezpiecznym. Przekształcał go do niepoznania. Młody chłopak, czując ruble, zapomniał o całym świecie. Rzucił się, szastał, aż dopóki pustka w kieszeni nie pozbawiła go dziwnej gorączki. Wyszedłszy od matki, pobiegł wprost do Litwina i wyciągnął go na pogawędkę od biurowego stolika. Pogawędka przeciągnęła się aż do ósmej wieczorem, naturalnie przy grze w bilardzik i kieliszku, krążącym tym obficie, że do przyjaciół przyłączyli się ich koledzy, wszyscy nieomieszkujący winszować... sukcesu.

Dopiero Stefan przypomniał sobie o balu. Na szczęście pieniądze ocalały mu jeszcze tyle, że zdążył wyświeżyć się odpowiednio i przed samą dziesiątą wszedł na salę balową, z powagą prowadząc matkę pod rękę i wzrokiem wytrawnego salonowca mierząc otoczenie.

Spoza szyb okiennych Zosia obserwowała go oczyma. Wydał jej się stokrót piękniejszy niż kiedykolwiek w tym stroju balowym, z tym wyszwarcowanym wąsikiem i z tym łagodnym uśmiechem na rozpoznaną twarz. Siłą woli wstrzymała się tylko, ażeby nie pójść, nie rzucić się na szyję i nie ogłosić światu w triumfie: „Patrzcie, oto mój narzeczony, mój przyszły mąż!”

Lola, zgodnie z wolą matki, widocznie kokietowała Stefana. Prześladowując go co chwila Zosią, drażniła miłość własną; miasteczkowy dandys wyparł się w żywe oczy przedpołudniowych zaręczyn, a co większa, przymilając się coraz bardziej pannie radczance, z niepokojem zaczął dostrzegać w niej te wszystkie wdzięki, jakie dotąd uszły jego uwagi. Zosi groziło poważne niebezpieczeństwo.

Szczerą miłość, jaką Stefan wmaślał w siebie na drodze do Łomży, zaczęła ustępować nowej zachciance. Pani radczyni z matką Stefana odnosiły triumf zupełny. Przed samą kolacją, gdy znużona tańcem Lola usunęła się do gabinetu damskiego, Stefan wkraśl się za nią i nic nie mówiąc, złożył na jej obydwóch rączkach, obnażonych po lokietki, kilkanaście namietnych pocałunków.

Zosia wydała za oknem jak zgromy. Jęku tego Stefan nie słyszał. Pijany balem i na wskroś przejęty wdziękami szesnastoletniej Loli, kochał w tej chwili ją tylko jedną. Ktoby mu Zosię przypomniał, rozśmiałyby mu się w żywe oczy.

Ale nagle spojrzął w okno. Do jednej z szyb przyklepione było blade jak płótno oblicze narzeczonej. Stefan zadrżał, przesunął ręką po czole, podbiegł do okna, jak gdyby oczom swym nie wierzył, spojrzął w głębi ulicy, znikła postać niewieścia. Tak, to była Zosia, nikt inny. W pierwszej chwili chciał wybiec, chciał ją przebłagać, ale dano hałas do mazura. Lola wzięła go pod rękę, wspólnie oburzyli się na osoby podglądające przez okna, on raz jeszcze ucałował białe i pulchne lokietki i po chwili utonął w skończonym tańcu, któremu Stefan aż do świtu ochoczo przewodził.

(Cdn.)

Reprodukcja z „Kłosów” Ryszarda Piechocińskiego.



Nie tylko Wenecją można się zachwycić. Dowiódł tego Czesław Brodzicki, z zawodu farmaceuta, który w lipcu 1977 roku ujrzał po raz pierwszy Kolno; ujęty serdecznym przyjęciem i urodą miasta — napisał jego monografię, która ukazała się akurat w piątą rocznicę przybycia autora na wyszczynę kolneńską.

Bogato udokumentowana, zaopatrzona w liczne zdjęcia (autor dotarł do wszelkich możliwych źródeł), obejmuje dzieje Kolna od wczesnego średniowiecza po dzień dzisiejszy. Brodzicki ujął historię miasta w dziesięć rozdziałów; cezurę stanowią wpierw losy Mazowsza, a po jego przyłączeniu do Królestwa Polskiego — losy państwa polskiego.

Pozornie lektura książki daje obraz miasta niczym szczególnym nie

Kolno przez wieki

wyróżniającego się na tle setek innych, podobnych miast. Ot, gdy cały kraj żył w dostatku, dobrze działało się również kolnianom, gdy natomiast cierpiał najazdy obcych wojsk, kolnianie płacili swoją, wyznaczoną im przez historię daninę krwi. Wybuchy powstania narodowe — szli do powstań.

Właśnie w tej nieefektywnej, zwyczajnej historii, znaczonej od czasu do czasu gwałtownymi pożarami, obracającymi niemal wszystkie domostwa w popiół, tkwi nadzwyczajność.

Nie wiem, czy autor świadomie nadał swej monografii taką filozofię zawartą w tytule: „Kolno na Ma-

zowszu”, gdyż to trwanie Kolna na Mazowszu wydaje się być tym rysem, który sprawia ową niezwykłość zwykłej historii miasta. Bez względu na to, czy Kolno istniało w Kraju Przywiślańskim, czy w Bezirk, czy też w Białoruskiej Republice Radzieckiej, zawsze było na Mazowszu.

Za pieczołowite zebranie dokumentów i relacji oraz opracowanie monografii jednego z ładniejszych miast województwa łomżyńskiego należą się Czesławowi Brodzickiemu słowa uznania, dzięki niemu bowiem „czas nie zatrzymał dzieł pamiętek”. Książka także rozwiewa wątpliwości tych, którzy byli prze-

konani, iż kulturę nad Narwią mogą tworzyć wyłącznie miejscowi, nie „przybyszowicze”.

Monografię zamyka rozdział „O Janie z Kolna”, legendarnym, pierwszym odkrywcą Ameryki. Autor przedstawił opinie naukowców, z których jeden poddawał w wątpliwość autentyczność tej postaci, drugi przytaczał argumenty przemawiające za istnieniem Jana z Kolna. Sam Brodzicki skłania się ku drugiemu stanowisku. Bez względu na to, jak jest w istocie, legenda już pozostanie, a z nią miasto Kolno w działach geograficznych i w pamięci ludzi.

ADAM JERZY SOCHA

Czesław Brodzicki: „Kolno na Mazowszu”. PWN, Warszawa 1982. Książka ukazała się pod egidą Łomżyńskiego Towarzystwa Naukowego im. Wągów.

Dorośli zadbali o to, żebyśmy przynajmniej w wakacje kryzysu na koloniach nie odczuwali i trochę od Lublina odetchnęli. W Koźle nad Pisą bez troski i rozrywek doświadczaliśmy co niemiara, a i niespodzianek bez liku. Jak tylko przyjechaliśmy, pierwszego lipca, obiad był znakomity, tylko chyba było nas za dużo, bo dla wszystkich w restauracji „Leśnej” sztućców nie starczyło. Kierownik lokalu zaczął narzekać, że jakaś szlachecka młodzież, bo nie potrafi sobie poradzić łyżkami z drugim daniem, a nasza kierowniczka, która miała na koloniach eliminować brzydkie przyzwyczajenia podopiecznych i nauczać ich kultury bycia przy stole, bardzo się zmartwiła. Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie wpadła na pomysł poży-

Przepytał panie kucharki i wszystkich we wsi, ale nikt tu o zacierce nie słyszał.

Rozrywki mieliśmy tak dobre, jak posiłki. Na przykład: urządzaliśmy sobie fajne skoki. Zawsze gdy wracaliśmy z kolacji, na schodach rozwał się jakiś pijak, więc sobie przez niego kicaliśmy. Młodsze dzieci trochę się bały, ale później i one się przyzwyczaiły, a nawet bardzo się cieszyły, kiedy przyjeżdżały samochodziki z milicjantami, którzy uspokajali tych, co się bili. Czasami podczas ciszy nocnej przychodził jakiś gość, stukał w okno i pytał, czy nie mamy piwa lub papierosów albo czy chcielibyśmy sobie z nim pogadać.

Jednego dnia przyjechali do domu nr 13 fajni ludzie. Ci dali nam

występi! Najpierw urządzili sobie skoki na motorach. Naprawdę było na co popatrzeć. A potem, wieczorem, uczyli nas różnych piosenek, takiej na przykład: „Na błękitnym niebie, chmurka chmurkę j...” Pani ręce załamywała później, ale nie wiem, czy to z powodu tej fajnej rymowanki. Biegała ciągle do telefonu; dzwoniła na milicję albo do różnych prezosów. Ale później z tym skończyła, bo w telefonie coś ciągle piszczało, szumiało, aż przestała w ogóle działać. Musiała chodzić do restauracji, a kierownik nie był z tego zadowolony; mówił o niej „wredna baba”.

Najfajniej było z myciem. Któregoś dnia nasz pan postanowił najmłodszym urządzać wieczorną kąpiel. Ale bojler się długo nagrze-

wał i mało w nim było wody. Po czterech osobach namydlął, a później splukiwał prysznicem. Śmiesznie wyglądali ci, dla których wody zabrakło! Po co im było to mycie? Przecież poscieli i tak dostaliśmy mocno nieświeżą.

Czasem urządzaliśmy polowania na takie robaczki, które latały po podłodze. Zanieśliśmy jednego naszej pani, żeby się dowiedzieć, jak się nazywają. Ale się przeraziła! Zbladła i wykrztusiła: „Jeeezu, karaluchy!” A myśmy się ich nie bali. Jednego dnia przyjechał jakiś pan z Wojewódzkiego Szpitala w Lublinie i napisał w książce zażalenie, że to wielki skandal. Ale nie bardzo wiem, co miał na myśli.

Kolonijne wynurzenia Adasia spisała ALICJA ŚWIDERSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

jak to na koloniach ładnie

czenia 13 brakujących widelców od jakiejś pani we wsi. Musieliśmy więc zachowywać się przy stole kulturalnie i nie nabierać kotleta schabowego łyżką.

Kotlety były znakomite, choć naszej pani kierowniczce to też nie pasowało i ciągle chciała coś zmieniać; mówiła, że kotletów ciągle jest nie można, bo nie wystarczy tych 250 złotych, które na każdego z nas przypadają. Więc kucharki ze skóry wychodziły, żeby nam dogodzić. Jednego dnia miała być nawet zapiekanka po mazursku, ale któraś z pań się podobno pomyliła i wrzuciła makaron do zimnej wody. Jeszcze takiej potrawy nie jadłem, jak żyje! Pani nasza mówiła, że to pręta, ale ja nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Chyba dobrze, bo kierownik restauracji dawał porcję tym, którzy zjedli kaszę mannę na kolację.

Jednego dnia jedliśmy zupełną pomidorową aż po 50 złotych za porcję, bo przeznaczone na kolację pomidory okazały się niejadalne w sałatce. Raz nasza pani wymyśliła taką zupełną, że kierownik restauracji w katalogu nie mógł jej znaleźć.



prezentacje

Popelniałam przestępstwo. Fakt to na ogół przykry i wstydlivy, a w tym przypadku szczególnie, bowiem dopuściłam się go nieświadomie, mimowolnie, a w zasadzie dlatego, że nie miałam innego wyjścia.

Posiadam samochód. Oczywiście, nie ma w tym nic nadzwyczajnego, zwłaszcza że dotychczas nigdy nie komplikował mi życia, wręcz przeciwnie; dopiero w łomżyńskim Jantarze nabył kryminalnych właściwości.

Parkuję pod chmurką. Niebo mi świadkiem, że to smutna konieczność, a nie oryginalne upodobanie. Na całym świecie coraz trudniej o miejsce do parkowania, gdyż przybywa samochodów, jak na Górze Zawadzkiej — w równym tempie — domów. Zatoczka chroniąca moje auto stała się szybko za ciasna. Coraz częściej musiałam szukać gdzie indziej miejsca. Wybór był niewielki; zostawiałam je naprzeciw zatoczki, zgodnie z przepisami. Lecz gdy rano znajdowałam malucha przestawionego, bo np. wadził śmieciarce w manewrach, lub dokumentnie utyłanego w gliniastym błocie, mniej byłam dumna z mego respektowania prawa. Dopiero jednak wtedy, gdy niezidentyfikowany pojazd nabił mojemu guza, a fia-

grzesznicy bez winy

towi pani Lucynki zdarł lakier, padły ostatnie skrupuły przed parkowaniem tuż pod oknem, z dała od niebezpiecznego traktu. — Co jest koń, każdy widzi — pan Stefan, słowami księdza Chmielewskiego, ostatecznie wyjaśnił sytuację. — Nie jest to normalne, ludzkie osiedle i nie ma co dalej zachowywać się tak, jakby nim było.

Wkrótce zresztą przed blokiem, po uprzątnięciu gruzów, pojawił się wymarzony skrawek ziemi; zaauścił się natychmiast. Idylla trwała niemal cały rok. Lecz wszystko jest złe, co się źle kończy. Pewnego słonecznego popołudnia spostrzegłszy kręcący się po osiedlu wóz milicyjny. Powiało niesamowitością, a nawet grozą. Cóż takiego mogło się wydarzyć? O bezpieczeństwo blisko dwunastu tysięcy mieszkańców tej części Łomży troszczy się jedynie trzech stróżów porządku publicznego, pojawienie się więc aż czterech funkcjonariuszy, z których jeden wyposażony był w aparat fotograficzny wysokiej klasy, wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie. Czujnie obserwowali ich ludzie siedzący

na ławkach i w ogródkach. Zdziwili, gdyż śledzili ruchy pasażerów samochodu zza firanek. Nikt jeszcze nie domyślał się, dlaczego tak uważnie przypatrują się naszym pocziwym fiatom i syrenkom. Jakaś wyglądająca oknem obywatelka wyraziła swą troskę o dzieci i samochody. Usłyszała odpowiedź jasną jak grom z chmurnego nieba: „Do dzieci nikt pretensji nie ma, a o samochodach będziemy dyskutować przed kolegium”.

Społeczeństwo popadło w zdumienie, a gdy niebieski pojazd się oddalił — wszczęło dyskusję. Najpierw przypominało sobie dokładnie wszystkie wykroczenia drogowe milicji. Trochę mu ulżyło. Wtedy przyszła kolej na przeprowadzenie dowodu na własną niewinność. Można się czepiać takiego, który się wtacza na trawnik, albo takiego, co tarasuje cały chodnik. My tuniczkomu nie wadziły. To prawda, że aby dojechać do piaszczystego „parkingu”, trzeba pokonać krótki odcinek chodnika, który raz jest, a raz znika, bo ciągle ktoś pod nim grzebie. Bardzo zresztą trudno po nim przejechać, jeszcze trudniej cho-

dzić, ponieważ nie nie uzasadnia jego nazwy. Chodnik zawsze towarzyszy jeźdni, tymczasem na Górze Zawadzkiej dopracowano się pośredniego rozwiązania: są albo same jezdnie, na których pieszy jest intruzem, albo same chodniki, a na tych — z kolei — samochody nie są mile widziane. Osiedle zostało zaprojektowane dla mieszkańców bez dzieci i samochodów, a bzdurne rozwiązanie Spółdzielnia Mieszkaniowa poprawia z umiarkowanym zapalem, za to tepi nawet dowozić gaz, którzy musieliby nosić butle nawet po kilkadziesiąt metrów. Pewnie że niszczą chodniki, tak jak i samochody osobowe oraz — przywożące niedzielnych gości — taksy i furmanki, ale czy to nie wykonawcy osiedla zmusili ich do tego?

Wszyscy obserwatorzy akcji milicyjnej byli zgodni co do tego, że Spółdzielnia powinna płacić mandaty, gdyż jej zaniedbania zmuszają ich do wykroczeń.

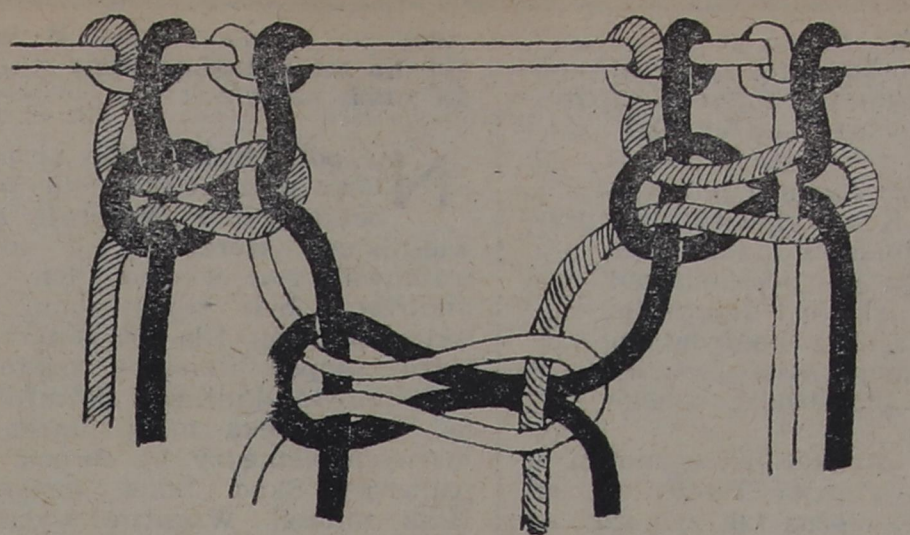
Następnego dnia przezorniejsza część mieszkańców bloku ulokowała samochody w innych sektorach osiedla, w miejscach zwolnionych przez wcześniejszych; inni czekają na pomandatowe rozmowy ze Spółdzielnią. A będzie o czym pomówić.

KAROLINA

siatka

w półtorej godziny

Odmierzamy 24 sznurki po 3,6 metra każdy. Wykonywanie siatki zaczynamy od uchwytów. Dzielimy sznurki na dwa równe pasma, składamy je na połowę i od połowy, w lewo i w prawo od środka, pleciemy warkocz o długości 0,4 metra. To samo robimy na drugim paśmie. Składamy obydwu warkoczów razem i na obu końcach wszystkich 24 sznurków robimy węzeł nad ręką. Jest to już rączka siatki. Warkocz pleciemy na połowę i zawieszamy np. na klamce. W odległości 12 centymetrów od węzła nad ręką wiążemy węzeł tkacki płaski naprzemiennie (patrz rys.) po dwa całe węzły na 20 sznurkach, zostawiając dwa pierwsze sznurki i dwa ostatnie nie związane. Będzie pięć słupków. W każdym następnym rzędzie robimy słupki z dwóch pełnych węzłów tkackich o 2,5 centymetra niżej. W drugim rzędzie zaczynamy od pierwszych czterech sznurków — ten rząd będzie miał 6 słupków. To samo robimy



z drugiej strony, pod węzeł nad ręką. W trzecim rzędzie robimy już siatkę na okrągło. Na każdy słupek — a będzie ich 12 w każdym rzędzie — bierzemy po cztery sznurki, tak żeby słupki wypadły naprzemiennie. Od tego miejsca robimy 10 rzędów — długość mniej więcej 30 centymetrów. Na końcu siatki robimy węzeł nad ręką z ośmiu sznurków w ten sposób, aby siatka zamknęła cztery sznurki od tyłu i cztery sznurki od przodu. Końcówki frędzli obcinamy. Średnica nitki w sznurku powinna wynosić 4 centymetry.

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

cesarskie cięcie

Operacja położnicza, zwana cesarskim cięciem, którą stosuje się dziś przy porodzie w razie niemożliwości normalnego urodzenia dziecka, przeprowadzano w zamierzchłych czasach. Swoją nazwę, jak twierdzili niektórzy, wzięła od Juliusza Cezara. Miał się on ponoć urodzić w ten sposób, ok. 102 r. p.n.e. Nie jest to prawdziwe, bowiem cesarskie cięcie w starożytności wykonywano tylko na zmarłych kobietach w ciąży, a wiadomo, że matka Cezara umarła dopiero 54 r. p.n.e. Bardziej prawdopodobne jest tłumaczenie łacińskiego „caesar” lub „caeson”, co oznacza „wypłutek”.

Wykonywanie cesarskiego cięcia w Rzymie usankcjonowane zostało prawem. Takim sposobem przyszli na świat sławni w starożytności Publius Cornelius Scipio i Maius Manilius, zdobywca Kartaginy. W średniowieczu urodzili się po cesarskim cięciu admirał i kondotier, doża Geny — Andrea Doria, papież Grzegorz IV i król angielski Edward VI, syn Joanny Seymour. Przypuszcza się, że ta kobieta była pierwszą, u której cesarskie cięcie wykonano za życia, choć tuż przed śmiercią. Ponoć ok. 1500 roku szwajcarski trzebieciel świń, Jakub Nufer, wydobyl żywy płód z łona swej żony, która jeszcze kilka tygodni żyła po tej operacji. Pierwszy zapisany zabieg, mający na celu uratowanie i matki, i dziecka, odbył się, jak donosi szczegółowy protokół, 22 kwietnia w Wittenberdze. Wykonano go u Urszuli Opitz. Ale długo jeszcze trzeba było czekać, zanim te operacje stały się w miarę bezpieczne.

madrość w pieluszkach

Niemowlęta mogą robić znacznie więcej, niż myślimy, i znacznie wcześniej, niż myśleliśmy. Ten pogląd Michaela Lewisa, dyrektora Instytutu ds. Studiów nad Dziećmi w Princeton (USA), wyparł już dawno przypuszczenie, że dzieci na świat przychodzą jako „tabula rasa”. Już 6-miesięczny płód reaguje na bodźce w sposób wskazujący na rozwój poszczególnych zmysłów. Gdy np. kobieta w szóstym miesiącu ciąży wchodziła do pomieszczenia, w którym paliło się ostre światło i „panował hałas, płód zamierał w bezruchu. Natomiast kiedy w półmrocznym pokoju słychać było łagodną muzykę — płód wykonywał ruchy świadczące o zainteresowaniu. Niezależnie od doświadczeń matki, której nie przeszkadzało jasne i hałaśliwe pomieszczenie, dziecko czuło się źle.

Niemowlęta mają bardzo wyostrożone zmysły, potrafią odróżnić głos lekarza od głosu matki. Szybko uczą się odbierać informacje jednym zmysłem i przekazywać ją drugiemu. Przeprowadzono taki oto eksperyment. Dziecko trzymało w ręce drewnianą zabawkę w kształcie gwiazdy. Chwilę potem dorosły zabierał gwiazdę, po czym pokazywał dziecku zarówno gwiazdę, jak i, tej samej wielkości, drewnianą piłeczkę. Dziecko poznało zabawkę, którą trzymało przed chwilą, i — już nią trochę znudzone — wyciągnęło rękę po piłeczkę. Między 8 a 11 miesiącem życia dziecka jest już świadome, że zabawka zmienia swe położenie dzięki pośrednictwu człowieka. Niemowlę rusza więc ręką matki bądź patrzy jej głęboko w oczy, prosząc w ten sposób, by podała mu zabawkę.

TANIE DANIE

pierozki z kapustą lub ziemniakami

Z 20 dkg maki, pół szklanki wody i 1 jajko zagnieść ciasto i cienko je rozwałkować, po czym pokrajać na kwadraciki. Przygotować farsz.

Z kapusty: niedużą główkę kapusty poszatkować drobno i uduśić z 3-4 łyżkami pasty pomidorowej, drobno pokrajaną marchewką i cebulą, uprzednio podsmażonymi na łyżce margaryny lub masła. Dodać 2 łyżeczki cukru-pudru.

Nadzienie ziemniaczane: ugotować nieco mniej niż pół kilograma ziemniaków, przepuścić przez maszynkę do mielenia mięsa, zmieszać z podsmażoną cebulą i ugotowanymi oraz drobno pokrojonymi suszonymi grzybami, posolic i popieprzyć.

Gotowy farsz rozłożyć na kwadraciki z ciasta, złożyć na pół po przekątnej i mocno ścisnąć brzoje palcami. Pierozki ugotować w osolonej wodzie. Smakują przewybornie z dobrą śmietaną.

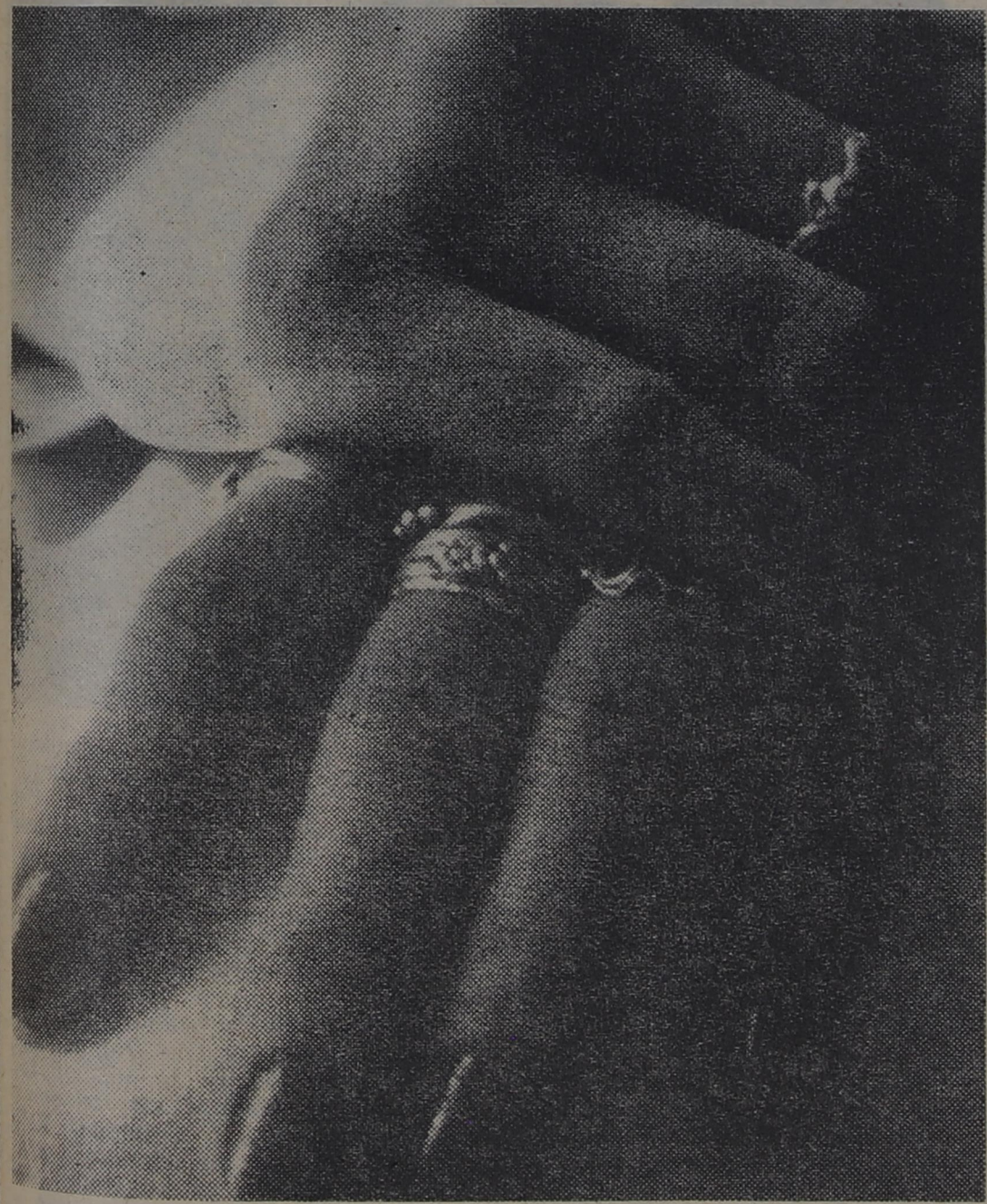
seks dzikich

Triobriadczycy śnią bardzo rzadko i prawie wcale snami się nie zajmują. Tylko *kirisala*, czyli sen o charakterze seksualnym, zawsze przypisują magii. Jeśli dziewczyna czyniła uroki miłosne — chłopiec śni, że wchodzi ona do jego domu, kładzie się obok niego na macie, kocha go, jest mu uległa i pozwala nawet na najintymniejsze pieszczoty. Ślad na macie utwierdza chłopca w przekonaniu, że dziewczyna, w postaci sennego widziadła, odwiedziła go tej nocy.

Żonaty mężczyzna zwykle starannie ukrywa przed żoną takie sennie wizyty. Stosunek męża we śnie z inną kobietą mógłby wywołać poważny gniew żony.

Sny o charakterze kazirodeczym stanowią dla krajowców przedmiot dużego zmartwienia. Najczęściej ich tematem jest stosunek pomiędzy bratem i siostrą. Właściciele tych snów są zaskoczeni, oburzeni i zawstydzeni. Zwykle tłumaczą je czarami, które zostały fałszywie zastosowane, przypadkowo skierowane w złą stronę albo też źle wykonane w stosunku do śniącego. Najczęściej jednak nic nie mówią na ten temat i nie przyznają się do kazirodeztwa nawet we śnie, bowiem jest ono wielką zbrodnią.

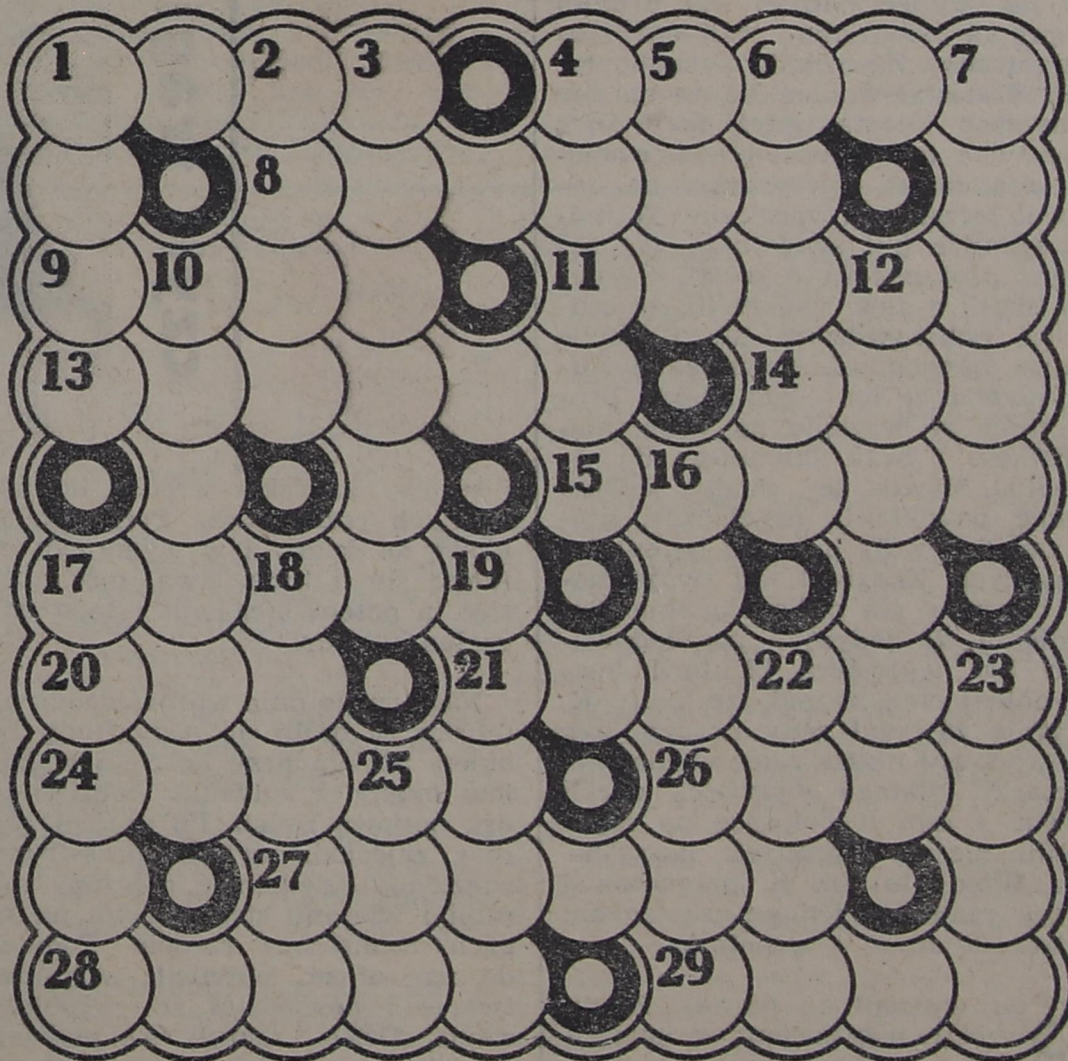
(Bronisław Malinowski: „Dzieta”)



kwitnące paznokcie

Kiedy na naszych paznokciach pojawiają się białe plamki — wróżą prawie w całej Europie pomyślnie zmiany. Polacy tylko kwitnącym paznokciom na prawej ręce przypisują dobre nowiny i zmiany losu, na lewej zaś — niekorzystne. Ile się pojawi białych plamek na paznokciach, tyle nastąpi wydarzeń. Bardzo starym ludziom paznokcie zakwitają rzadko, więc gdy to się sta-

nie, wróżą z ich, ile lat życia mają jeszcze przed sobą. Znane są powszechnie wróżby, w których kwitnienie paznokci na poszczególnych palcach ma różne znaczenie. Od kciuka prawej ręki poczynając, na małym palcu kończąc, liczy się: szczęście, nieszczęście, zaszczyt, miłość, przyjaźń. Przy lewej ręce: porzucenie, znieważenie, zapomnianie, wyśmianie, śmierć.



POZIOMO: 1) nie jedna na bagnie, 4) zespół muzyczny złożony z 8 osób, 8) krasomówca, 9) los, sytuacja życiowa, 11) pospolity chwast łąkowy, 13) końska pociecha, 14) surowiec na opium, 15) przedza jedwabna, 17) kieruje wojskiem w czasie działań, 20) w mitologii germańskiej bóg wojny, prawa i sprawiedliwości, 21) pseudonim Henryka Sienkiewicza, 24) zatoka Morza Czerwonego, 26) gruby sznur, 27) stadium larwalne niektórych tasiemców, 28) drugie co do wielkości miasto Japonii, 29) karp, okoń, szczupak.

PIONOWO: 1) duże naczynie w kształcie ściętego stożka, 2) jest uprawiana przez rolnika, 3) wyznawczyni islamu, 4) zaraźliwa choroba wirusowa koni i bydła, 5) napisany jest na koperce, 6) towarzyszy debiutantom przed pierwszym publicznym występem, 7) profesor znany z telewizyjnego serialu, 10) do niego zaczyna się pastorki, 12) kojarzy się z Dalilą, 16) rasa psa, 17) gromada zwierząt domowych, 18) na murawie, 19) zmyślanie, udawanie, 22) niebezpieczne na rzece, 23) duże, wytworne pomieszczenie, 25) rodzaj zabawki dziecięcej.

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

stragam pod trzynastką



pamiętnik nastolatka

Na pierwszym przesłuchaniu o-
powiedziałem okoliczność mo-
ich przestępstw w nadziei na
pomoc funkcjonariuszy. Siedziałem
w areszcie 6 miesięcy, kierowany
nieczynnym strachem — bałem się
napisać do rodziców. Mogłbym o-
trzymać listy, paczki czy pieniądze.
porozumieć się w sprawie obrony.
Zostałem jednak sam. Miesiąc, dwa,
trzy, cztery — stopniowo traciłem
nadzieję. Mury, kraty, spacernik,
wkóło strażnicy i ludzie zamknięci
w sobie: jak przeżyć kolejny dzień,
gdy już po miesiącu dusiłem się tą
bezwzględna izolacją od wszystkiego.
co naturalne. Zaczynała się wio-
sna — wszystko budziło się do życia.
Lecz tu nie się nie zmieniło, tylko
więźniowie byli bardziej nerwowi.

Przyszło stopniowe wycieńczenie
fizyczne, po raz pierwszy poznałem
uczucie głodu. Dostawałem zupę z
buraków i czarny chleb, po którym
czułem pieczenie w żołądku. Inni
mieli paczki, widzenia, listy; kom-
binowali, żyli lepiej. Ja ludziłem się,
że wszystko się wyjaśni i pan K.
zasiądzie na ławie oskarżonych.
Znany był milicji opolskiej jako o-
szust, ale sprytny, i nigdy nie mo-
gła mu zbyć wiele udowodnić. Te-
raz nawet miał przeciw mnie świad-
ków.

Przyszli maj. Dziewiątego miała
odbyć się moja rozprawa. „Dzień
zwycięstwa — pomyślałem — szczę-
śliwy”. Poprowadzili mnie na salę
sadową w kajdankach. Moja biała
postać budziła szeptu współczucia
ludzi oczekujących na swoje spra-
wy: „Taki młody, a taki bandyta”.

Pan K. rozrzucał swoje wyjaśnie-
nia jak mecenas. Ja nawet nie mia-
łem odwagi prosić o obronę adwo-
kata, gdyż bałem się, że będzie to
uznane za dowód przebiegłości i
chęć krycia przestępstwa. Mimo iż
nie napisałem żadnego listu, mia-
łem nadzieję, że rodzice będą ucze-
stniczyć w rozprawie. Byłem jed-
nak sam, a wszyscy przeciwko mnie.
Nie wiedziałem, jak zacząć swoje
zeznania. Kręciłem, myliłem oko-
liczności. Prokurator, człowiek nie-
wiele starszy ode mnie, krzychał, że
kłamie i że inaczej w śledztwie ze-
znałem. Sędzia, kobieta młoda, po-
czątkowo ze współczuciem zadawa-
ła mi pytania, ale nagle zrobiła się
nerwowa. Prokurator domagał się
5 lat więzienia. Nie reagowałem już
na to. Ujawniłem wszystko, co wie-
działem o panu K.; skrupulatnie to
pospisywano. Sędzina powiedziała,
że w jego sprawie toczy się odręb-
ne postępowanie. Nic mi to nie po-
może. Sam przyznałem się, że wszed-
łem do mieszkania i zabrałem bur-
sztyń. Natomiast nie było dowo-
dów na udział w przestępstwie pa-
na K. Sprawę odroczone.

Wracając do radiowozu nie wi-
działem niczego poza kajdankami.
To już koniec nadziei. Na drugiej
rozprawie siedziałem całkiem zre-
zygnowany. Zeznawali świadkowie.
Pan K. dostał wiadomość, że ma nie
opuszczać miasta, gdyż toczy się
przeciwko niemu postępowanie kar-
ne; nie został zatrzymany, bo od-
bywał leczenie chirurgiczne. W mo-
jej sprawie był świadkiem. Na za-
dania prokuratora o 5 lat więzie-
nia prosił o głos. Podkreślił, że czu-
je się pokrzywdzony, ale i trochę
winny, bowiem nie powinien był u-
trzymywać ze mną kontaktów. Bró-
nił mnie ze względu na wiek, nie-
karalność i brak skłonności do al-
koholu. Mówił, że mam jedynie
pewne powikłania psychiczne, któ-
re zadecydowały o braku hamulców
moralnych. Zdziwił sąd swoją mo-
wą obronną. Na moje błagalne wy-
jaśnienia, że jedynym poszkodowa-
nym był wytwórca biżuterii bur-
sztynowej, ten zeznał, że pan K.
sprytnie zawyżał ceny naszyjników
i powodował niższe zamówienia pry-
waciarzy, dlatego wytwórca chciał
zerwać z nim współpracę po rozli-
czeniu się z pobranych naszyjni-
ków. Wtedy to pan K. przygotował
chytły plan: za jednym zamachem
pozbył się mnie i współnika.

Sąd wyszedł na naradę. Kiedy
wrócił, usłyszałem: w imieniu
PRL uznaje się obywatela
winnym i skazuje na 3 lata i 6 mie-
sięcy oraz 25 tysięcy grzywny i
12 200 kosztów. Już przy pierwszym
zdaniu leżałem pod oknem, obez-
władniony przez funkcjonariuszy.
Uznano to za akt agresji na odczy-
tującą wyrok sędzinę. A ja widzia-
łem wtedy tylko balkon; nie chcia-
łem żyć. Myślałem, że nie przeżyję
miesiąca, gdy zawiozą mnie z po-
wrotem do celi. Była to kara śmierci,
jaką sam sobie chciałem wymie-

żyć. Za co? Za to, że nie nauczy-
łem się być bandytą, za to, że skon-
czyłem 18 lat; za to, że nie potra-
fiłem przekonać innych, jak tak-
ko mi do przestępcy, bo nie cha-
łem do tego fachu zamilować, za-
to, że pan K. to człowiek zły i prze-
biegły, a budził zaufanie ludzi pra-
wych. Tylko ja i poszkodowany w e-
dzieliśmy, jaki jest naprawdę. A ja
znowy wyszedł z konfrontacji cało,
ja zaś miałem zostać wtrącony do
piekła ku przestrodze kolegów na-
stolatków.

Przestać myśleć! Jak opanować tę
gonitwę w głowie? Trzeba mi zgi-
nać, bo nie można tak żyć, gdy się
ma 18 lat. Lekarz powiedział, że mu-
szę przetrwać, bo to tylko 3 lata.
Krzyknąłem: „Dlaczego? Za co?”
Wyjaśnił, że trzeba umieć płacić za
swoje czyny. Dał mi dobrą radę:
nikt nie będzie się martwić śmier-
cią młodego przestępcy, gdy umie-
ra tylu ludzi prawych i uczciwych
zasłużonych ojczyźnie.

Kiedy znalazłem się w tej samej
celi, z której z taką nadzieją wy-
chodziłem, byłem innym człowie-
kiem: skazanym. Przez chwilę zasta-
nawiałem się nad tym, czy rodzice
będą zli na mnie, jeśli targnę się
na życie; poczułem się tak, jakbym
dostał dwie. Lecz oprzytomniałem

kiedy na wolność. Tylko od 18 lat
o-ł dla mnie niedozwolony z uwagi
na młody wiek?

Nie potrzebuję czytać krymina-
łów — gdy ocieram się o nie
bezpośrednio. Wegetuję z róż-
nymi wiesnikami, którzy życie innych
traktowali rozrywkowo. Ich akty
oskarżenia były kryminałami, i to
wstrząsającymi. Dla 100 złotych po-
trafił skopać ofiarę — często ze
śmiertelnym skutkiem. Potrafili zro-
bić z człowieka masę ludzką dla
marnych pieniędzy, by obrócić je w
papierosy. Skąd takie instynkty?
Brak miłości. Wszędzie wyczuwa-
łem totalny brak miłości, a także —
umiejętności obdarzania nią. Nie
brali oni faktu pozbawienia wolno-
ści za karę i mocno się trzymali.

Nie potrafiłem narzucić sobie te-
go. Budząc się rano każdego dnia
myślałem: to sen, jakiś film. Ale
nie ustępowałem i wiedziałem, że nie
ustąpi. Wieczorem, po całonocnym
zmaganiu z sobą nie miałem sił. O-
swoilem się ze śmiercią; myślałem
o niej jak o czymś przyjemnym,
starałem się narzucić sobie skłon-
ności masochistyczne i w tej udrę-
ce bólu, wegetacji, znaleźć przyjem-
ność trwania.

Każde wyjście latem na spacer-

który wyszedł do łóżka — nie-
zupę buraczaną. Z czasem każda
wolna chwila zaczęła spędzać po-
czynałem się wyobrazić sobie wol-
ność. Nie musiałem odpowiadać na
pytania współwięźniów, którzy od
pierwszego dnia uznali mnie za ka-
pusia, podstawionego przez admini-
strację, aby zbadać nastroje w celu.
Swoich instynktów nie tłumili. Z-
cie seksualne przybierało na sile.
Różne nieporozumienia karane były
przez administrację, ale nim wyszły
na światło, poszkodowany cały się
śmiertelnie żył. Nie ułatwiali so-
bie wzajemnie życia. Musieli znać
swoje nastroje albo cioty. Ile trzeb-
odporności i skąd ją brać?

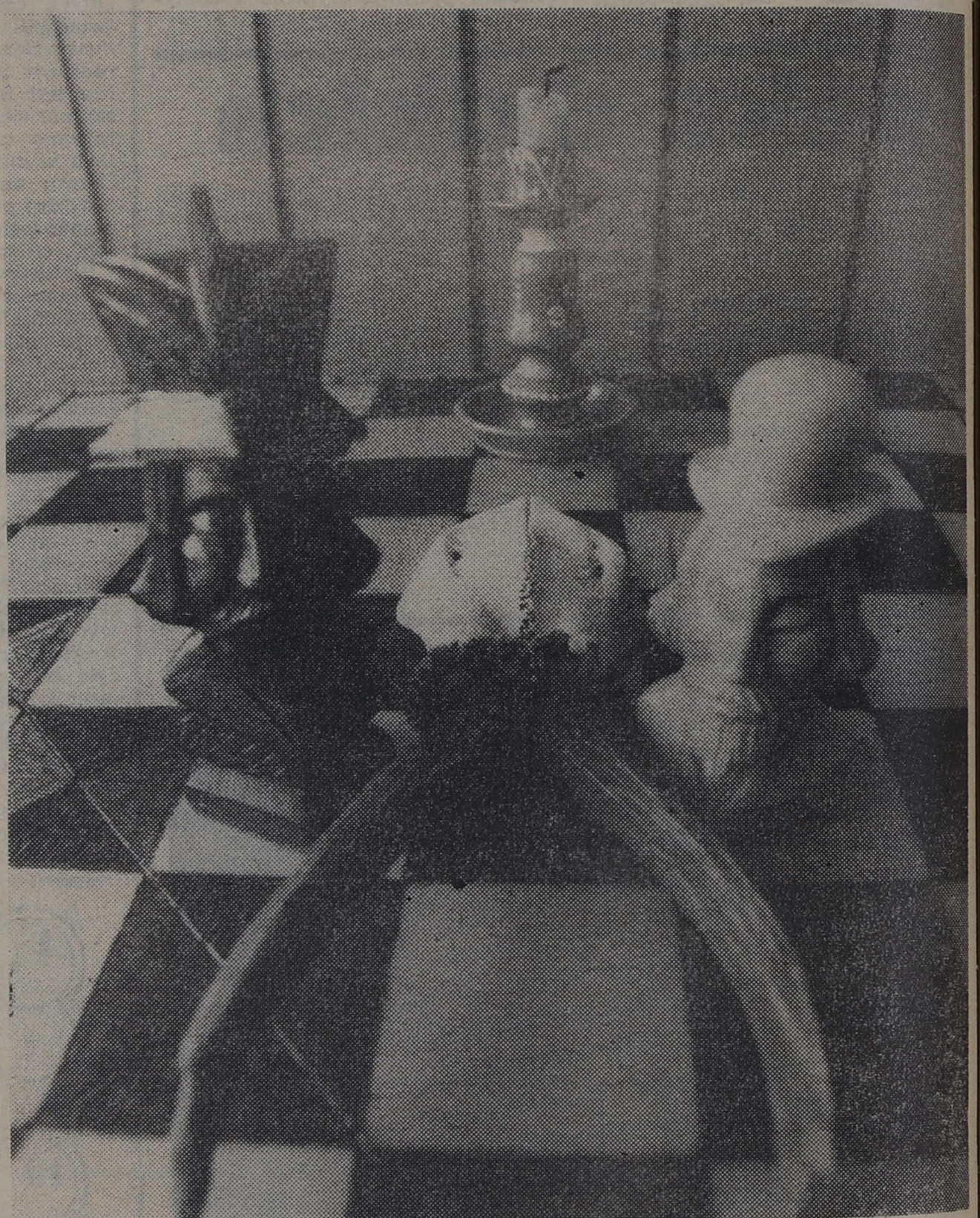
Bardzo chciałem, aby zaden na-
stolatek nie musiał odczuć takiej
izolacji, a ludzie, którzy występują
w imieniu prawa — dali każdemu
młodemu szansę przed wtargnięciem
go za kraty i pozostawienie włas-
nemu sumieniu.

Wyszedłem. Mam stałe zdro-
wie po przebytych zapale-
niu płuc. Cierpię na rozstrój
żołądka i inne dolegliwości. Wy-
świetlam filmy i mam wrażenie, że
znajdę swoje miejsce w społeczeń-
stwie. Ale każda interwencja pana

(2)

w pułapce

czyli tragiczne perypetie ofiary oszusta



i sprawy ziemskie wróciły do nor-
malnych rozmiarów. Przykładałem
głowie do ściany i w wyobraźni co-
fałem się o krok, dwa, pięć, dzie-
sięć, a potem biegałem i tepo ude-
rzałem w mur.

Następnego dnia wprowadzono nas
(blisko 50 osób) do samochodu bez
okien. Stałem przy kracie i widzia-
łem migające sylwetki wolnych lu-
dzi, majową zielen. Po długiej pod-
róży zajęliśmy na przestronnym
wielkiemu dziedzińcu, otoczony mu-
rami i wieżami strażniczymi na ro-
gach. Stanęliśmy rzędem. Podszedł
do nas oficer, obrzucił wzrokiem
twarze i powiedział ze współczu-
ciem: „Dzieci, zaczęły się wakacje
wasi koledzy nad jeziorem, nad mo-
rzem, a wy?” Nie odczuwałem nic
poza przekonaniem, że w każdej
chwili mogę skończyć z sobą, bo
widziałem koleżanów wakacji za kratami.
Wydała mi się zabójcza. Nie mie-
ściło mi się w głowie, że mógłbym
przeżyć w celi trzy lata. Tyle cza-
su. Boże, jak to znieść? Skąd brać
siły, gdy żołądek boli z głodu. Skąd
brać nadzieję, gdy pamięć o wolno-
ści powoli się zaciiera. Skąd wziąć
umiejętność zrozumienia sytuacji.

nik powodował zmianę nastroju:
przez pół godziny słyszałem wew-
nętrny krzyk: „dlaczego?” Tak do-
okoła ładnie, zielono, tyle słońca.
w oddali domy, a w nich ludzie —
wolni, może szczęśliwi, w każdym
razie mający szansę szukania szczę-
ścia. Kiedy starałem się wrócić do
obrazów wolności — rozlegał się
sygnał „Koniec spaceru” — i na-
stępowało zejście do grobu. Wycho-
dziłem ostatni i wracałem także o-
statni. Każdego dnia liczyłem, że
może coś się zdarzyć: nie będę mu-
siał wchodzić za tę kratę. Kilka ra-
zy zatrzymałem się i dopiero po u-
derzeniu dużym kluczem przez straż-
nika wchodziłem w korytarz, nie
czując bólu, lecz jedynie przeraże-
nie, że coś się za mną zamyka. Przez
kratę widać było oddalający się
spacernik — namiastkę wolności.
Ile razy narażając się na surowe
kary, zamierałem w oknie na ta-
borecie „Przechodziłem” przez kra-
ty i byłem z ludźmi.

Minał już rok, nie miałem żad-
nych nadziei. Ile jeszcze takich dni,
tygodni, miesięcy? Po roku uczucie
głodu tak spowszedniało, że zaczą-
łem rezygnować z posiłków, rozko-
szując się widokiem współwięźniów.

K w sprawie płacenia zadłużer
niszczy ten spokój. Mam komornika
ka, który reguluje potrącenia. Pan
K. usiłuje mnie przekonać, że jeśli
nie zacznę współpracować z nim,
nigdy nie uwolnię się od długu.
ledwie zarobię na odsetki. Twierdzi
że po edukacji więziennej stać mnie
na numer za grube pieniądze i le-
sze życie.

O wszystkim powiadamiałem ku-
ratora, lecz bez skutku. Pan K. za-
łał. Zostałem pobity za nic. Ot tak
sobie aby przekonać się, że powo-
nieniem dobrze żyć z panem K.
zmobilizować się do włamań i kra-
dziej. Wizyta u prokuratora dała
mi informację, że trudno wnikać w
porachunki między kryminalistami.
Nie myślę już o samobójstwie,
lecz o leczeniu. Nie pobiegę za od-
jeżdżającym tramwajem, nie skoczę
ze schodów i nie odcchnę głęboko,
bo czuję klucie w płucach. Ale to
nieistotne. Chcę o wszystkim po-
pomnieć Pan K. jednak mi nie po-
zwala. Być może któregoś dnia do-
prowadzi do tego, że rzeczywiście
zostanę bandytą, ale pierwsza ofia-
rą będzie on sam!

Andrzej z Elbląga
Fot. GABOR LORINCZY

och jakie nudy!

O każdym mieście piszą gazety, i o Warszawie, i o Berlinie, lecz mało o tem wiemy (niestety), jak na prowincji czas zwykle płynie. Dobrzeby było, by każde miasto swego miało kronikarza, aby rozgłaszał światu wokół wszelkie wieści „z partykularza”.

Pierwsza więc staję w tej nowej roli, niechaj i o nas świat coś się dowie; gdy pan redaktor na to pozwoli, stać będę często wieści o Zambrowie.

Miasto to nasze Jabłonka dzieli na Zambrow „nowy” i Zambrow „stary”; pierwszy w swe ręce żydowie wzięli, w drugim jest kościół, poczta i koszar. Są tu latarnie o wielkiej mocy, świecą gdy księżyc na wysokości, ale na nowiu to zwykle w nocy wprost tu egipskie mamy ciemności.

Zyjemy tutaj spokojnie, cicho, żadne nam „gwary” nie macą czasu, choć nieraz wlezie nam w drogę licho i wiele robi w mieście hałas. Uznania dzisiaj warta jest w mieście rzecz, co przysługą jest dla Zambrowa, ot założona u nas (nareszcie!) „straż ochotnicza” (tylko ogniowa). Aptekarz zebrał strażaków siła, takie ogniowe straż są w modzie...

Jest tu wszystkiego u nas dostatek, są pola, łąki, lasy, ogrody, lecz na to płacze nasz mały świat, że nam niestety bardzo brak wody. Nie mamy rzeki, choć jest sadzawka, taka kopana w księżym ogrodzie...

I wielu rzeczy nam nie dostaje, o których pisać papieru szkoda, są jakieś dziwne chińskie zwyczaje i jakaś inna, nie polska moda. Jakże tu nudy! Och jakie nudy! Nie masz pojęcia mój dobrodziej, przyczynę powiem dziś, bez obtudy, w naszej kompanii strasznie brak... kleju. Jak chcą na przykład balu ze składek, to wnet napada nas jakaś „trema”, a jak się zaczęła sejmowa sasiadek, przejdzie karnawał i balu nie ma! Więc choć w Zambrowie nie brak jest ludzi, każdemu czoło zachodzi chmurą, każdy się zwykle w swym domu nudzi, a miasto zowie „przekiętą dziurą”.

Co miasto winne? Ja nie wiem ucale, tylko to powiem z mojej obserwacji, jeśli tu nudy są w karnawale, to tylko wina arystokracji.

Co o tem pisać! To próżne słowa, gaudium żadne nie robi zmiany, wszystkie te uwagi do Zambrowa tak przylgną, jak i groch do ściany...

H. K.

„Echa Płockie i Łomżyńskie”
1902, nr 18)

urok dawnych lat

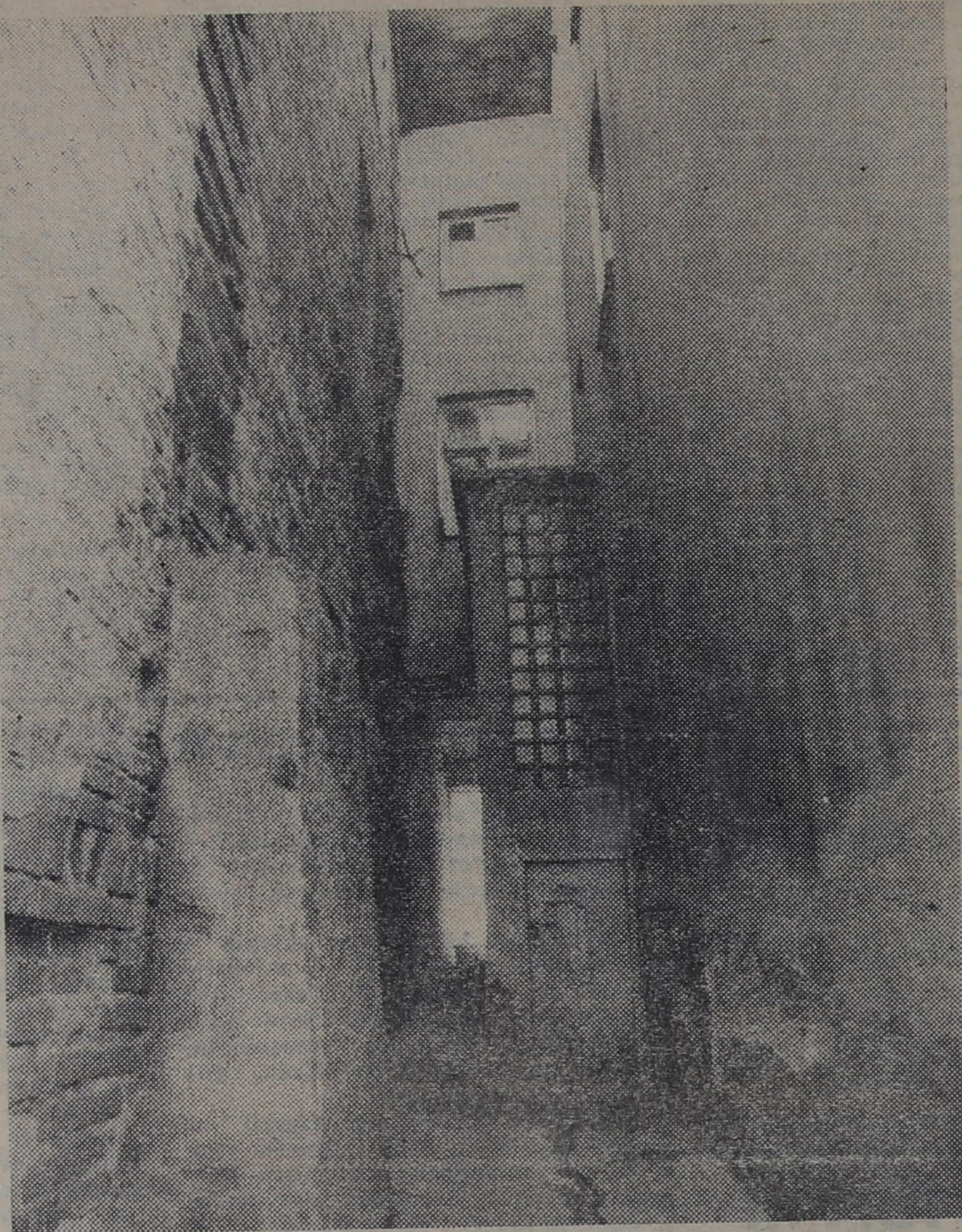
■ Mistrzowie cechu szewskiego (XVI w.) mieli prawo kontrolowania wyrobów wystawianych na sprzedaż. „Wyroby źle wykonane mogli spalić, a za usterki surowo karać”. Z handlu wykluczono osoby, którym „towarzystwo i handel uczciwych ludzi są zaprzeczone”.

■ Na rynku stał drewniany ratusz, dwupiętrowy, kryty słomą. „Do zabytkowych nie należał. Pod koniec XVIII w. mocno zniszczony szybko chylił się ku upadkowi”. Miastu potrzebna była protekcja rządu, „by nędzną dzisiejszą postać swoją odmieniło”.

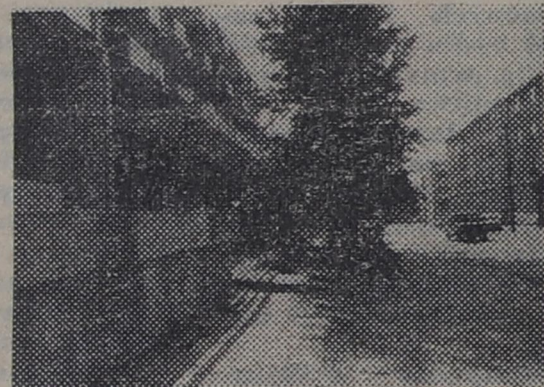
■ W końcu XVIII w. liczył Zambrow 3 ulice brukowane, 98 domów, ale za to 12 browarów, 9 gorzelni i jeden szynk na dokładkę.

■ „Do najbardziej popularnych zawodów w Zambrowie (1933 r.) należały: szewstwo (92 rzemieślników), krawiectwo (64), rzeźnictwo (41), piekarnictwo (21), kowalstwo i stolarstwo (po 15 rzemieślników). Liczne reprezentowane było także fryzjerstwo i czapnictwo (po 8)”.

Kolumnę redagował
Adam DOBRŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



Zambre, Ząbr, Ząbrowo, Szambrowo lub Zambrowo, na koniec Zambrow — nazwa urobiona ponoć od miejsca pobytu żubrów lub miejsca postoju drużyny księżęcej, z którego następował wymarsz na polowanie na tego króla puszczy. Dziś o żubrach w Zambrowie głucho, za to plujących wielu. Na co? Zapytajcie mieszkańców grodu przy E 12.



ma zowsze

„W kilka miesięcy później powstała druga SPRA (Szkola Podchorążych Rezerwy Artylerii) w Zambrowie. Podobno też była anbrucha, choć „mazowiecka”. Od czasu do czasu pożyczali we Włodzimierzu (Wołyńskim) jedną armatę lub haubicę. Zawsze oddawali w doskonałym stanie, wyryśnione na medal i natłuszczone jak należy. Mazowsze mówiono o nich, bo ma zowsze czyste buty. No, tak, ale w wołyńskiej SPRA służyli wszyscy, a w Zambrowie tylko profesor Lengren i syn premiera Kwiatkowskiego. Zanim Zambrow dorobił się tradycji, wybuchła wojna. Taki to nasz zafajdany los”.

(Stanisław Zieliński:
„Kielbie we łbie”)

kacik poetycki

Gdzie zwrócim oczy,
żal widzimy wszędzie, nędzę i
cierpienia —
Spiesz do pracy, nim wypłyną
zorce.

Lud bez wytchnienia.
Ale zamiera i w nim duch ochoczy,
A ból się wzmacnia i mu duszę
mroczy...

Smutno nam, Boże.

WŁADYSŁAW MACKIEWICZ

Wiersz zambrowianina, wręczony prezydentowi Stanisławowi Wojciechowskiemu podczas jego wizyty w Łomży.

Piłsudski w Paproci

W Wilnie Józef Piłsudski (przywódca PPS-u, redaktor „Robotnika”) zapoznał „Piękną Panią” — Marię z Kopalewskich Juszkiewiczową. Spotykali się potem w Warszawie i postanowili zawrzeć związek małżeński. Ślub katolicki nie wchodził w rachubę, gdyż Maria była rozwódką, wobec tego Piłsudski postanowił formalnie (pozornie) zmienić wyznanie. Uczynił to 24 maja 1899 r. w Łomży przed tutejszym pastorem, Kacprem Mikulskim (notabene: osobą wielce zasłużoną dla sprawy polskiej).

Dnia 25 czerwca tegoż roku w kościele ewangelicko-augsburskim w Paproci Dużej ogłoszono pierwsze zapowiedzi, a 15 lipca o godz. 10.00 „w obecności świadków Adama Piłsudskiego, lat 29, pomocnika architekta i Jana Piłsudskiego, lat 23, pracownika bankowego, obu zamieszkałych w Wilnie, zawarty został pod tą datą religijny związek między Józefem Klemensem Piłsudskim, kawalerem, kupcem, zamieszkałym w Łapach, urodzonym w majątku Żulowie, 31 lat, synem Józefa i zmarłej Marii z domu Billewicz, małżonków Piłsudskich, wyznania ewangelicko-augsburskiego, i Marią Kazimierą Juszkiewicz z domu Kopilewską, rozwiedzioną z winy męża, zamieszkałą w Łapach, urodzoną w Wilnie, lat 33, córką zmarłego szlachcica Konstantego i Ludmiły z Chomiczów małżonków Kopilewskich, wyznania ewangelicko-augsburskiego”.

Ze względów konspiracyjnych podano Łapy jako miejsce stałego zamieszkania małżonków. Dziwi też oficjalny zawód (kupiec!) przyszłego Marszałka.

Ogłoszenie w roku 1934 aktu ślubu z 15 lipca 1899 r. stało się sensacją, by nie powiedzieć — skandal. Nie żyła już wówczas Maria, a Józef Piłsudski — katolik — był mężem Aleksandry ze Szczerbińskich.

KARTKI Z KALENDARZA

4 V 1283 r. — erekcja kościoła pod wezwaniem św. Trójcy; pierwsze potwierdzone źródłowe wydarzenie w Zambrowie.

1430 (1420?) r. — lokacja miasta przez Janusza I.

1564 r. — w 250 domach żyło ok. 1500 zambrowiaków; po „potopie” zostało ledwie 135 mieszkańców.

1869 r. — po krwawo stłumionym powstaniu styczniowym Zambrow stał się tylko osadą. Ponownie prawa miejskie uzyskał w 1919 r.

1954 r. — ruszyła przedsiębiorstwa ZZPB.

WIELCY

ANTONI SEBASTIAN DEMBOWSKI herbu Jelita, urodzony w 1682 r. w Zambrowie (zmarł w 1763 r.), był sekretarzem króla Augusta II, pośłem ziem łomżyńskich w latach 1731—1733, pisarzem (m.in. autor dziełka „Memoire sur le gouvernement de Pologne”), a na koniec — biskupem kujawskim.

BOLESŁAW PODEDWORNY, urodzony 7 stycznia 1898 r. w Pęczarce, był powstańcem śląskim i działaczem ruchu ludowego (SL, ZSL), a po wojnie — przewodniczącym PRN-u w Łomży, ministrem, a następnie zastępcą przewodniczącego Rady Państwa. Zmarł 18 listopada 1972 r. „Stworzył” przemysł włókienniczy w Zambrowie.

